

## WSPOMNIENIA

ZAZNAŁAM W ŻYCIU TYLE DOBROCI...

Z MYCHAJŁYNĄ KOCIUBYŃSKĄ ROZMAWIAJĄ  
BOGUMIŁA BERDYCHOWSKA I ALEKSANDRA  
HNATIUK

Bogumiła BERDYCHOWSKA, Aleksandra HNATIUK:  
– *Jak wyglądał Pani dom rodzinny, środowisko, w którym  
Pani wyrastała?*

Mychajłyna KOCIUBYŃSKA: – Urodziłam się w Winnicy w grudniu 1931 roku, w budynku, w którym mieściło się muzeum Mychajły Kociubyńskiego<sup>1</sup>. Był to mały domek w centrum miasta. Budynek ten przetrwał wojnę i również dzisiaj jest tam muzeum. Zachowały się także niektóre drzewa w ogrodzie. W centrum dzisiejszej Winnicy stoi ten domek w otoczeniu drzew i kwiatów, które tak lubił Kociubyński, tworząc wrażenie miejsca niezwykle zacisznego i przytulnego.

---

1. Mychajło Kociubyński (1864-1913) – najwybitniejszy prozaik okresu modernizmu, autor m.in. noweli „Kwiecie jabłoni”, opowieści „Cienie zapomnianych przodków”, poematu prozą „Intermezzo”. W Polsce ukazały się „Utwory wybrane” (t.1-2, 1954).

Urodziłam się więc w tym domu, dokładnie w tym samym pokoju, gdzie wcześniej urodził się Mychajło Kociubynski.

Moi rodzice byli organizatorami pierwszego po rewolucji muzeum literackiego na Ukrainie, właśnie tego muzeum w Winnicy. Ojciec był młodszym bratem Mychajły. Kiedy się urodziłam, ojciec miał już 62 lata – byłam późnym dzieckiem z drugiego małżeństwa ojca. Jego dzieci z pierwszego małżeństwa mogłyby być moimi rodzicami. Kiedy przyszłam na świat, moja mama była już dojrzałą kobietą, niemniej była o dwadzieścia cztery lata młodsza od ojca. Ojciec nie otrzymał gruntownego wykształcenia. Ukończył w Moskwie Ludowy Uniwersytet Szaniawskiego – nie była to formalna edukacja; takiej ojciec nie posiadał. Nie można więc było powiedzieć o nim, że był kwiatem inteligencji. Ale miał talent gospodarza i praktyczny zmysł, przez wiele lat pracował jako urzędnik akcyzy. Dość długo mieszkał w Petersburgu, był członkiem ukraińskiego bractwa, przewodził towarzystwu „Trzeźwość”. Później przeniósł się na Ukrainę i zarządzał majątkiem księcia Sanguszki w Sławucie. W ogóle właściwie przez całe życie był urzędnikiem. Ale jego życiowym powołaniem było ogrodnictwo. Wszędzie gdzie mieszkał, natychmiast zakładał ogród i osiągał niezwykle rezultaty: hodował jakieś nowe, przepiękne gatunki kwiatów. Warzywa, posadzone jego ręką były niespotykane, na przykład kiedy posadził dynie, to ich owoce były tak wielkie, że sięgały człowiekowi do pasa; gdy uprawiał pomidory, to jeden owoc potrafił ważyć kilogram (ojciec był zresztą z takimi pomidorami na jakiejś wystawie). Zawsze mnie to intrygowało, jak mu się udawało wyczyniać takie dziwy z roślinami. Do tej pory nie wiem, na czym to polegało. W dzieciństwie wydawało mi się, że ojciec jest czarodziejem; poczucie to z biegiem lat nie zniknęło.

Po rewolucji ojciec został dyrektorem sierocińca w Kijowie. Właśnie tam poznał moją matkę. Moja mama była Ormianką z Krymu. Pochodziła z dość zrusyfikowanego środowiska ormiańskiego. Matka uczyła się w Petersburgu na Wyższych Kursach Bestużewa dla Panien – pierwszych tego typu kursach w Rosji. Poziom nauczania był bardzo wysoki, wykładowcy stanowili kwiat inteligencji rosyjskiej. Po ukoń-

czeniu Kursów mama pracowała najpierw jako guwernantka w Donbasie, a później, już w czasach sowieckich, została wychowawczynią we wspomnianym już sierocińcu w Kijowie, w którym pracował również mój ojciec. Tam się poznali, wtedy również pobrali się i matka zaczęła „przyuczać się” do ukraińskości. Myślę, że podstawowymi powodami jej zainteresowania problematyką ukraińską była z jednej strony twórczość Kociubyńskiego, z drugiej zaś osoba i twórczość Tyczyny<sup>2</sup>.

B.B.-A.H.: – *A miłość do pani Ojca?*

M.K.: – Myślę, że mój ojciec nie miał wielkiego udziału w jej zainteresowaniu tą problematyką. W ogóle nie mogłabym powiedzieć, że był uosobieniem ukraińskości. Oczywiście, znał język ukraiński, ale nie był entuzjastą kultury ukraińskiej. Matka trafiła więc do kultury ukraińskiej samodzielnie. Na pewno pomogło jej to, że miała dobrą szkołę filologiczną. Myślę, że dzięki temu wykształceniu bardzo szybko nauczyła się języka ukraińskiego. Później zaś poznała twórczość Kociubyńskiego, świetnego przecież prozaika. Kociubyński z całą pewnością był doskonałym podręcznikiem kultury ukraińskiej. No i ten drugi element – osoba Tyczyny. Bywał u nas w domu, a był to jego, jako poety, najlepszy czas. Jego ówczesna poezja jest rzeczywiście świetna. Teraz mi się wydaje, że moja matka była w nim po prostu zakochana. Tak więc moja mama nauczyła się języka ukraińskiego i potem, już w Winnicy, uczyła go nawet w jakiejś szkole. Była na przykład nauczycielką Mychajły Stelmacha<sup>3</sup>. Zawsze mnie to

---

2. Pawło Tyczyna (1891-1967) – jeden z najwybitniejszych poetów ukraińskich XX wieku. Debiutował tomem „Soniaszni klarnety” (1918), utrzymanym w poetyce symbolizmu. W latach dwudziestych odchodzi od symbolizmu, tworzy przejmujące utwory, m.in. „Wiatr z Ukrainy”, „Zamiast sonetów i oktav”. Po 1933 roku stał się czołowym przedstawicielem socrealistycznej poezji.

3. Mychajło Stelmach (1912-1983) – poeta i prozaik. Początki jego twórczości przypadły na okres stalinowski. W późniejszych utworach odchodzi od kanonu socrealizmu (powieści „Prawda i krzywda”, 1961, pol. tłum. „Ziarno i plewa”, 1967, „Czotyry i brody”, 1979).

bardzo bawiło, bo kto tutaj miał kogo uczyć: Stelmach moją mamę czy mama Stelmacha? Przecież Stelmach znał język ukraiński od urodzenia i to znał go świetnie. Niemniej wiem skądinąd, że Stelmach niezwykle ją szanował. To znaczy, że jednak coś istotnego przekazywała swoim uczniom.

Wyrastałam więc w winnickim muzeum, wśród ciągłych wycieczek, nauczycieli, wieśniaków – tak jak to bywało w sowieckich czasach, kiedy tak kolektywnie przyuczali ludzi do kultury. Ten winnicki okres w moim życiu pamiętam jak przez mgłę, ponieważ kiedy skończyłam trzy i pół roku, mojego ojca przeniesiono do Czernihowa, gdzie miał zorganizować następne muzeum Mychajły Kociubyńskiego. Z tymi przenosinami do Czernihowa było wiele problemów, bo były to lata trzydzieste. Nie znam wszystkich szczegółów, ojciec nigdy mi o nich nie mówił, zresztą nie bardzo się nimi interesowałam, póki ojciec żył. Dopiero niedawno dowiedziałam się, że część osób, wchodzących w skład Rady Muzeum, była zamieszana w proces Związku Wyzwolenia Ukrainy, który przeprowadzono w 1929 roku. Podobno oskarżano wówczas moją mamę o ukraiński burżuazyjny nacjonalizm i o jakieś konszachty ze Związkiem Wyzwolenia Ukrainy. O tym ostatnim fakcie dowiedziałam się zupełnie niedawno, kiedy byłam na konferencji naukowej w winnickim muzeum Kociubyńskiego. Mówiła mi o tym jedna z jego uczestniczek, historyk. Po jej referacie zapytałam ją czy wie, jakiej narodowości była moja matka. Na to ona: „Jak to jakiej? Była Ukrainką”. Dopiero ode mnie dowiedziała się, że mama była Ormianką. Ta sprawa mojej mamy dobrze charakteryzuje atmosferę lat trzydziestych na Ukrainie.

Tak więc, jak powiedziałam, przenieśliśmy się do Czernihowa i ojciec zaczął organizować muzeum. Dobrze pamiętam, że wszystko tam moi rodzice robili własnoręcznie; przygotowywali pierwsze tablice, ojciec sam porządkował sad, malował dach. Bardzo szybko to miejsce dosłownie rozkwitło. Zawsze mieliśmy dużo zwiedzających. Ludzie przychodzili, zwabieni nie tyle samą ekspozycją, co jakąś ogólną atmosferą, panującą w muzeum. Moi rodzice organizowali wieczory literackie, pamiętam, że na naszej werandzie zbierali się pisarze czernihowscy. Często przyjeżdżali do nas literaci z Kijowa,

przede wszystkim Jurij Meżenko<sup>4</sup>, Pawło Tyczyna, Maksym Rylski<sup>5</sup>, Wołodymyr Sosiura<sup>6</sup>. Odwiedzali nas również kijowscy aktorzy i artyści. Mieliliśmy bardzo bliskie kontakty z miejscowym teatrem. Pamiętam, że wielkim wydarzeniem kulturalnym w Czernihowie było wystawienie, bodajże w 1937 roku, „Fata Morgany” w inscenizacji Jakiwa Mamontowa<sup>7</sup> ze scenografią Wadyma Mellera<sup>8</sup>. Nie wiem, jak dzisiaj oceniałabym ten spektakl, ale wtedy wydawał mi się niezwykle malowniczy i prawdziwy. Mieliliśmy również bardzo bliskie stosunki z Leningradem; rodzice przyjaźnili się z leningradzkim pisarzem Wołodymyrem Bocianowskim. Często bywał u nas rzeźbiarz Illa Ginzburg<sup>9</sup>, który *nota bene* znał osobiście Mychajłę Kociubyńskiego. Poznał go u Gorkiego na Capri. Ginzburg wykonał dla muzeum popiersie Kociubyńskiego, które do dzisiaj znajduje się w czernihowskim muzeum. Wiedliśmy bardzo aktywne życie towarzyskie i artystyczne.

---

4. Jurij Meżenko (1892-1969), ukr. i ros. bibliograf, historyk literatury, czołowy krytyk symbolistów w latach dwudziestych. W latach 30-ych, uciekając przed represjami, przeniósł się do Leningradu. Do Kijowa wrócił dopiero po wojnie.

5. Maksym Rylski (1895-1964) – poeta i tłumacz. Debiutował w 1918 r. tomikiem symbolistycznym – „Pid osinnimy zoriamy”. W latach dwudziestych był jednym z przedstawicieli poezji neoklasycystycznej. Wiersze z lat 1932-1956 utrzymane były w konwencji socrealistycznej. Tom „Hołosijiwska osiń” zapoczątkował odnowę poezji ukraińskiej. Przekład Rylskiego „Pana Tadeusza” uznawany jest za kongenialny.

6. Wołodymyr Sosiura (1898-1965) – poeta. Od początku lat dwudziestych piewca rewolucyjnych przemian na Ukrainie. Wiersz „Lubit’ Ukrainu” przysporzył mu jednak wiele kłopotów. Był to utwór, będący świadectwem wewnętrznej niezgody autora na rzeczywistość.

7. Jakiw Mamontow (1880-1940) – dramaturg, autor dramatów symbolistycznych („Dies irae”, 1922, „Ave Maria”, 1924) i modernistycznych („Republika na kołesach”, 1927). W latach 30-ych jego sztuki zdjęto z repertuaru teatrów.

8. Wadym Meller (1884-1962) – scenograf. W latach 20-30-ych był scenografem charkowskiego teatru „Berezil”. Po wojnie pracował w Kijowie.

9. Illa Ginzburg (1859-1939) – rzeźbiarz. Twórca pomnika Mikołaja Gogola w jego rodzinnej wsi Wełyki Soroczyni (1911), Ajwazowskiego w Feodosiji (1914-1930) i Mychajły Kociubyńskiego w Czernihowie (1939).

Tak to trwało do 1941 roku, do wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej.

Kiedy wybuchła wojna, to jakoś było dla nas wszystkich oczywiste, że trzeba się ewakuować. Na początku nam, podobnie jak wszystkim, proponowano, by spakować najpotrzebniejsze rzeczy i jak najszybciej wyjeżdżać. Ale ojciec powiedział, że bez muzeum nigdzie nie pojedzie. I natychmiast zaczął dobijać się, by przydzielono nam cały wagon, co umożliwiłoby ewakuację całego muzeum. To była rzadka postawa i tylko dzięki niespotykanej wytrwałości mojego ojca dano mu w końcu ten wagon. Dość długo to trwało, ale wagon dostał, wprawdzie było już bardzo późno, bo Niemcy podchodzili już do Czernihowa. Pamiętam, że skończyliśmy już załadunek wagonu 21 lub 22 sierpnia, a 12 września Niemcy wkroczyli do Czernihowa. Zabraliśmy najcenniejsze eksponaty muzealne, łącznie z popiersiem wykonanym przez Ginzburga. Kiedy załadowano już wagon, dworzec w Czernihowie był zbombardowany, wszystko dookoła paliło się i to, że nam się nic nie stało, to prawdziwy cud. (A trzeba wiedzieć, że po wojnie w centrum Czernihowa nie pozostał ani jeden piętrowy budynek). Na tym zbombardowanym dworcu staliśmy trzy dni i dwie noce. Byliśmy przekonani, że już nigdzie nie wyjedziemy, że tu zginiemy. Charakterystyczny szczegół: co było dla moich rodziców najważniejsze – to oczywiście rękopisy Kociubyńskiego. Znajdowały się one w okutej żelazem zielonej skrzyni i kiedy było największe bombardowanie, to najgłębiej chowano tę skrzynię, na tej skrzyni kładziono mnie, a na mnie kładli się mój ojciec i matka. Ta skrzynka była więc dla moich rodziców równie ważna, jak ja. Moi rodzice nie odróżniali swojego życia od życia muzeum.

Staliśmy na tym zbombardowanym dworcu i właściwie zdecydowaliśmy już, że następnego dnia weźmiemy samochód (choć nie bardzo było wiadomo skąd go wziąć) i wrócimy do Czernihowa. I tu wtrąciła się jakaś wyższa siła. Jeden z ostatnich, a może w ogóle ostatni pociąg sanitarny, który przejeżdżał przez Czernihów, nie pytając nikogo o zdanie, przyłączył do swojego składu nasz wagon. Kiedy obudziliśmy się, nasz wagon jechał już na wschód. Później ojciec

dogadał się z naczelnikiem tego pociągu, że my będziemy przebijać się do Baszkirii, do Ufy, gdzie ewakuowano wcześniej Akademię Nauk Ukrainy. Nietrudno sobie wyobrazić, jak to wszystko trwało długo i jak ciężka była ta droga. Dopóki jechaliśmy przez Ukrainę, zawsze ktoś dawał nam coś do zjedzenia, potem jednak z żywnością było coraz ciężiej. Na szczęście ojciec miał worek sucharów i trochę cukru. Przez większą część drogi żywiliśmy się tymi rozmoczonymi sucharami, a jechaliśmy prawie półtora miesiąca. Na stacji Wałujki na Charkowszczyźnie zapakowano do naszego wagonu chyba z dwudziestu uciekinierów. Warunki jazdy były bardzo ciężkie, ale cóż było robić? Ludzie po drodze umierali, gubili się. W końcu dostaliśmy się do Ufy. Ojciec poszedł do akademika Ołeksandra Bohomolca, który był wówczas prezesem Akademii Nauk Ukrainy. Po rozmowie z Bohomolcem przyłączono nas do Akademii, to znaczy staliśmy się jej oficjalną jednostką. Dzięki temu moi rodzice otrzymywali jakąś pensję, a co najważniejsze dostaliśmy kartki na chleb. Skład personalny muzeum wyglądał w następujący sposób: ojciec, matka, stróż, który przyjechał z nami z Czernihowa i księgowa, którą była żona Pawła Tyczyny (głównie po to, aby mieć kartkę na chleb). Znaleźliśmy jakiś dom, w którym wydzielono dla muzeum osobny pokój. I tak to muzeum funkcjonowało w składzie Akademii. Muszę powiedzieć, że nie było to fikcyjne, bo właśnie tam, w Ufie, wydano zeszyt naukowy muzeum pod tytułem „Kociubyński i zachodnia Ukraina”.

W czasie wojny Ufa była taką małą Ukrainą. W domu mieliśmy duży piec, a że ojciec na ewakuację zabrał worek kartofli, to w tym dużym piecu piekliśmy ziemniaki, kiedy przychodzili do nas znany filolog Serhej Maśłow, pisarze Jurij Janowski<sup>10</sup>, Maksym Rylski, żydowski poeta Dawid Hofstein, historyk Hlib Łazarewski (ze znanej w ukraińskiej kulturze rodziny Łazarewskich), autor niezwykle interesujących wspomnień, wydanych dopiero niedawno. Pierwszymi jego

---

10. Jurij Janowski (1902-1954) – pisarz, autor opowiadań i powieści utrzymanych w tonacji neoromantycznej (m.in. „Majster korabla”, 1928; „Jeżdżcy”, 1935, wyd. pol. 1982).

sluchaczami byli moi rodzice i ja, dziesięcioletnie wówczas dziecko. Podczas spotkań toczyły się niezwykle interesujące rozmowy. Tamtejsza społeczność ukraińska organizowała mnóstwo koncertów, bardzo aktywni byli ukraińscy aktorzy. Pierwsza ufińska zima była bardzo ciężka, później było już łatwiej. W Ufie chodziłam do szkoły, do trzeciej, czwartej i piątej klasy.

Z tamtych czasów pamiętam jedynie oderwane od siebie wydarzenia – niczym kadry z filmu. Przypominam sobie na przykład, jak pewnego wieczoru – to był pierwszy rok okupacji Kijowa przez Niemców – przyszedł do nas Pawło Tyczyna i przeczytał ten wiersz „Hołos materi”: *Straszna była w zymni nicz....* W tym wierszu jest wizja okupowanego Kijowa; wszyscy zaczęli płakać, ja również płakałam, i sam Tyczyna też płakał. Wszyscy w dwójnasób odczuli swoje oderwanie od Ukrainy, niepewność losu. To był jakiś rodzaj patriotyzmu sowieckiego. O ten sowiecki patriotyzm sprzecam się z Jewhenem Swerstiukiem<sup>11</sup>. Swerstiuk uważa, że nigdy nie istniało coś takiego, jak sowiecki patriotyzm. Ale ja doskonale pamiętam, jak bardzo ludzie, którzy się u nas schodzili, przeżywali to, że Ukraina jest pod niemiecką okupacją, oni nie chcieli tych Niemców. Pomimo, że byłam wówczas dzieckiem, doskonale to pamiętam. Nie będę się upierać przy określeniu „patriotyzm sowiecki”, nie wiem, jak nazwać te uczucia, ale z całą pewnością ci ludzie byli ogarnięci falą patriotyzmu. Właśnie na tej fali patriotyzmu narodził się wspaniały wiersz Tyczyny „Pochoron druha”. To był absolutnie szczerzy wiersz. Nikt mu go nie narzucał.

Gdzieś w 1943 roku Akademia i pisarze wyjechali do Moskwy, my pozostaliśmy jeszcze w Baszkirii, ale kiedy tylko pierwsze skrawki Ukrainy zostały wyzwolone, ojciec zdecydował, że wracamy. Był rok 1944, wciąż trwała wojna i było

---

11. Jewhen Swerstiuk (ur. 1928) – pisarz, autor zbiorów esejów (m.in. „Sobor u rysztowani”, 1968; „Błudni syny Ukrajiny”, 1993; „Szewczenko i czas”, 1996). W latach 1972-1983 więziony w łagrach za literacką i społeczną działalność. W latach 80-ych zaangażowany w odnowienie cerkwi autokefalicznej. Prezes ukraińskiego PEN-Clubu.



bardzo niebezpiecznie, ale my wróciliśmy. Pamiętam, że w Niżynie niedaleko Czernihowa trafiliśmy w środek wielkiego bombardowania. Bomby padały tak gęsto, że nie wiem jakim cudem udało się nam wyjść z tego cało. Wróciliśmy do Czernihowa, do naszego budynku, który, choć zaniedbany, to jednak ocalał, głównie dlatego, że w czasie wojny mieściło się tu starostwo. Ojciec wziął się natychmiast do intensywnej pracy. Zaczęto rekonstrukcję czernihowskiego muzeum. I znów było tak jak przed wojną: dużo wycieczek, goście, a ogród wokół muzeum odzyskał swoją przedwojenną świetność. Nie był to zwykły ogród; został pomyślany jako swoista „zielona ekspozycja”. Rosły tu ulubione kwiaty i rośliny Kociubyńskiego, które widział podczas swoich licznych podróży, o których pisał. Tak więc dodatkiem do zieleni były cytaty z jego utworów, o agawie, o winogronach, o malwie – tu przywołano wspomnienie Maksyma Gorkiego o tym, jak Kociubyński goszcząc u niego na Capri ujrzawszy malwę, zdjął kapelusz, uklonił się i rzekł: „Jak tam zdrowie? Jak się mieszka na obczyźnie?”.

Latem 1949 roku ukończyłam szkołę i od razu pojechałam studiować filologię ukraińską w Uniwersytecie Kijowskim. Już w czasie studiów, na każde wakacje wracałam do Czernihowa, gdzie pracowałam jako przewodnik w naszym muzeum. Studia ukończyłam w 1954 roku. Od razu po studiach rozpoczęłam studia doktoranckie. Doktorat pt. „Poetyka Szewczenki a ukraiński romantyzm” napisałam u akademika Ołeksandra Biłeckiego<sup>12</sup>. Chociaż jeszcze jako aspirantka wykładałam (i to z powodzeniem) teorię literatury na wydziale filologicznym, to nie zaproponowano mi pracy na uniwersytecie. Natychmiast jednak przyjęto mnie do pracy w Instytucie Literatury.

B.B.-A.H.: – *Wróćmy na chwilę do Pani studiów. Rozpoczęła je Pani w 1949 roku, to znaczy w pełni stalinizmu, ukończyła je Pani już po śmierci Stalina, w 1954 roku. Proszę powiedzieć, jaka była wówczas atmosfera w środowisku studenckim?*

---

12. Ołeksandr Biłecki (1886-1961) – historyk literatury, długoletni dyrektor Instytutu Literatury AN, vice-prezes AN.

M.K.: – Jak mam odpowiedzieć na to pytanie? Dziś zupełnie inaczej to widzę, ale wtedy wierzyłam w idee komunistyczne. Nie mogę powiedzieć, że byłam jakąś nadzwyczaj aktywną komsomołką, najwięcej czasu poświęcałam nauce. Całymi dniami siedziałam w bibliotece. Niemniej, nawet dla siebie nie robiłam przewartościowań obowiązujących idei. Nie mogę powiedzieć, że bardzo płakałam za Stalinem, ale przeżyłam jakiś moment trwogi. I proszę mi wierzyć, że bardzo niewiele wiedziałam o tym, co się działo w czasach stalinowskich. Jakoś to wszystko, co się wtedy działo, nie docierało do mnie.

B.B.-A.H.: – *Jak to było możliwe? Opowiadała Pani, że przychodzili do Was do domu Tyczyna, Ryłski, Janowski, a każdy z nich był przecież w jakiś sposób represjonowany. Niektórzy pod koniec lat dwudziestych, inni w trzydziestych, ale każdy z nich był w pewnym momencie zagrożony, na każdego urządzano nagonkę.*

M.K.: – Ale to jakoś mnie omijało. Może trudno zrozumieć i uwierzyć w to, ale zrozumienie i ocena tych faktów przyszło znacznie później. Wyrastałam w nurcie obowiązującej ideologii. Jak już powiedziałam, byłam komsomołką i sama się do Komsomołu zapisałam, nikt mnie do tego nie zmuszał. Nie byłam aktywistką, ale też nie dystansowałam się od panującej ideologii. To był jakiś taki ogólny nurt, a w tym nurcie i ja się znajdowałam. Muszę to przyznać, jeśli chcę być szczerą i uczciwą wobec siebie i nie projektować na te czasy późniejszego swojego doświadczenia. Jakieś nowe doświadczenia i – co za tym idzie – niepokój pojawił się we mnie dopiero po ukończeniu uniwersytetu. To było już po 1953, a nasiliło się po 1957 roku. Te nowe doświadczenia wiążą się dla mnie z przyjściem do pracy w Instytucie Literatury Akademii Nauk. Tam poznałam Iwana Switłycznego<sup>13</sup>, (pracował w czasopiśmie *Radiańskie Literaturoznawstwo*), który podobnie jak

---

13. Iwan Switłyczny (1929-1993) – poeta, czołowy krytyk literacki pokolenia lat 60-ych. Jeden z głównych animatorów niezależnego życia kulturalnego w Kijowie. Był dwukrotnie aresztowany – w 1965 i 1972 r. W obozie przeżył wylew i nigdy nie powrócił już do normalnego życia.

ja, był w zespole akademika Szamoty, jednego z najbardziej zajadłych wrogów literatury ukraińskiej. Przy okazji muszę powiedzieć, że Szamota na początku bardzo dobrze traktował mnie i Swiłycznego. Na swój sposób Szamota cenił ludzi inteligentnych.

Właśnie wtedy, w Instytucie Literatury, zaczął się dla mnie nowy okres w życiu. Bardzo wiele wówczas czytałam, w tym również prohibitów. Rozpoczęły się nasze długie dyskusje ze Swiłycznym, Swerstiukiem. Potem był już okres Klubu Twórczej Młodzieży.

B.B.-A.H.: – *Powróćmy do 1956 roku. W Moskwie Chruszczow czyta swój słynny tajny referat. Zaczyna się destalinizacja. Jak to wyglądało na Ukrainie?*

M.K.: – Pierwsza reakcja na referat Chruszczowa była taka, że jest to niewiarygodne, że nie może to być prawda. Ja osobiście nie byłam do tego przygotowana. Pamiętam, jak moja mama to przyjęła, w końcu dorosła osoba, która niejedno w życiu widziała. Dla mojej matki był to grom z jasnego nieba. Dopiero z biegiem czasu wraz z nowymi lekturami, poznaniem masy nie znanych mi przedtem faktów, zwolna zaczynało się w to wierzyć. Co tu dużo mówić na ten temat, o czym wiedzieliśmy, a o czym nie wiedzieliśmy, przecież ukończyłam uniwersytet, a o Płużnyku<sup>14</sup>, Zerowie<sup>15</sup> czy Chwyłowym nic prawie nie wiedziałam. Może to wydawać się niewiarygodne, ale tak było. Wszystko to zaczęłam inaczej postrzegać pod koniec lat 50-tych i na początku 60-tych. Gdy powstał Klub Twórczej Młodzieży, to znalazłam się w nim ja i moi studenci. To znaczy i ja, i oni w tym samym czasie zaczęliśmy odkrywać dla siebie zakazaną dotychczas literaturę.

---

14. Jewhen Płużnyk (1898-1936) – pisarz. Jeden z najbardziej oryginalnych poetów lat 20-ych. Krytykowany za niezaangażowaną twórczość, z tego też powodu represjonowany. Zmarł na Solówkach na gruźlicę płuc.

15. Mykoła Zerow (1890-1937) – poeta, krytyk, tłumacz, historyk literatury. Najwybitniejszy przedstawiciel neoklasycyzmu, rzecznik okcydentalizacji ukraińskiej literatury.

B.B.-A.H.: – *Przepraszamy, może to będzie bolesne pytanie, ale Wasza rodzina sama padła ofiarą represji. Brat Pani ojca, Jurij Kociubyński<sup>16</sup>, został w czasach stalinowskich aresztowany. O tym się chyba w rodzinie mówiło?*

M.K.: – Wam trudno to będzie zrozumieć, ale u nas w domu o tym się nie mówiło. Mój ojciec nie przepadał za Jurijem Kociubyńskim i nie utrzymywał z nim żadnych kontaktów. Przy okazji opowiem, w jaki sposób dowiedzieliśmy się o rehabilitacji Jurija Kociubyńskiego. Było to w 1956 roku, mój ojciec był umierający (miał ogniskowe zapalenie płuc), prawie przez dwa miesiące był nieprzytomny. I właśnie w tym czasie przyjechała do muzeum jakaś urzędowa komisja z Kijowa pod przewodnictwem takiej sekretarz do spraw ideologii Komitetu Centralnego, Iwaszczenko i kiedy mama ją oprowadzała po muzeum, to ta Iwaszczenko oskarżycielskim tonem zapytała: „Dlaczego nie macie u siebie portretu Jurija Kociubyńskiego?” A przedtem wszędzie tam, gdzie w rękopisach Mychajły Kociubyńskiego pojawiało się imię Jurija, było ono wykropkowane. Iwaszczenko nie powiedziała tak po prostu, że Jurija zrehabilitowano, tylko stworzyła taką sytuację, jakby moja matka ze złej woli nie powiesiła tego portretu. Tak to wyglądało, choć trudno w to dziś uwierzyć.

B.B.-A.H.: – *Wróćmy teraz do czasu, kiedy ukończyła Pani uniwersytet.*

M.K.: – Ten czas po ukończeniu studiów uważam za swoje powtórne narodziny. Przedtem byłam jakby odurzona. Oczywiście, że czegoś się uczyłam, ale wciąż jeszcze nie myślałam samodzielnie. Myślę, że jestem charakterystycznym przykładem losu pewnej kategorii ludzi. Jak już mówiłam, po studiach zaczęłam czytać zakazaną wcześniej literaturę, zaczęłam spotykać nowych ludzi, w końcu zaczęłam też inaczej myśleć i nagle odkryłam całą masę faktów, których wcześniej nie

---

16. Jurij Kociubyński (1897-1936) – działacz partii bolszewickiej, walczył przeciwko Ukraińskiej Republice. Rozstrzelany przez NKWD bez sądu jakoby za kierowanie „ukraińskim trockistowskim centrum”.

znałam albo jakoś nie zauważałam. Bardzo dużo dały mi rozmowy z Jewhenem Swerstiukiem. Oczywiście ważne były również rozmowy ze Switłycznym, jednak jego doświadczenie było podobne do mojego, a Swerstiuk prezentował inne podejście do życia; był jakby z innego świata. Dla niego wiele rzeczy było jasnych znacznie wcześniej niż dla nas. Swerstiuk pochodził z Zachodniej Ukrainy, miał zupełnie inne niż my doświadczenie życiowe. My w końcu byliśmy od dziecka pod wpływem oficjalnej sowieckiej propagandy. Właśnie Swerstiuk moje oceny pisarzy, jakieś stereotypy brał i wywracał na nice. Czasami było to dla mnie wręcz straszne, ale to dzięki temu zaczynałam nad wieloma rzeczami się zastanawiać. Późno, ale jednak. Nie zawsze się z nim zgadzałam. Zresztą do dzisiaj nie we wszystkim się z nim zgadzam. Potem, już w ramach Klubu Twórczej Młodzieży zaczęliśmy organizować wieczory upamiętniające ukraińskich pisarzy. Wraz ze Swerstiukiem pisaliśmy do tych wieczorów scenariusze. Wtedy też zaczęliśmy jeździć po Ukrainie. Naszym niezastąpionym przewodnikiem był Hryhoryj Łohwyn, który odkrywał przed nami „malowniczą Ukrainę” – Ukrainę zabytków architektonicznych, jej pejzaż historyczny. Wtenczas poznałam także Ałłę Horską<sup>17</sup>.

B.B.-A.H.: – *A jak Pani scharakteryzowałaby rolę Switłycznego i Horskiej dla waszego środowiska? Jewhen Swerstiuk mówił, że złamali oni taki „więzienny model życia”, to znaczy model, w którym pisarz znał tylko pisarza, rzeźbiarz rzeźbiarza, muzyk muzyka itd?*

M.K.: – Istotnie tak to wyglądało, każdy sobie: muzycy z muzykami, literaci z literatami itp. Switłycznyj i Horska byli takimi jednoczącymi centrami. Pamiętam, w jaki sposób poznałam Ałłę Horską. Zaszli do mnie kiedyś artyści, m.in. Hałyna Zubczenko<sup>18</sup> z propozycją, bym przyłączyła się do pro-

---

17. Ałła Horska (1929-1970) – malarka. Jedna z głównych organizatorek niezależnego życia kulturalnego w Kijowie, współorganizator protestów przeciwko aresztowaniom w 1965 roku. Skrytobójczo zamordowana.

18. Hałyna Zubczenko – malarka. Brała udział w działalności kijowskiego Klubu Twórczej Młodzieży.

testu przeciwko niszczeniu zabytków w Czernihowie. Zwrócili się do mnie dlatego, że pochodziłam z tego miasta. I właśnie Hałyna Zubczenko zapytała mnie, czy znam Ałłę Horską. „Nie znam” – odpowiedziałam. „To muszę cię z nią poznać”.

Istotną rolę w zjednoczeniu środowiska odegrał również młody reżyser Łeś Taniuk. W konserwatorium rzucał się w oczy taki młody kompozytor Lonia Grabowski. Później już był okres wspólnej pracy z Jurijem Badzio<sup>19</sup>, Jewhenem Proniukiem<sup>20</sup>, Iwanem Switłyčnym w biurze Klubu Twórczej Młodzieży. Na marginesie, Klub działał wówczas pod patronatem kijowskiego Komsomołu.

Switłyčnyj i Horska jednoczyli środowisko kijowskie. Switłyčnyj dokonał jeszcze jednej rzeczy – skontaktował mnie z ludźmi z Zachodniej Ukrainy. Stał się pierwszym pomostem między Kijowem a Lwowem. Na początku lat 60-tych napisał mi list polecający do młodego historyka sztuki, Bohdana Horynia<sup>21</sup>, z tym listem pojechałam do Lwowa. Bohdan Horyń oprowadził mnie po pracowniach lwowskich artystów: malarza Leopolda Lewyckiego, rzeźbiarki Teodozji Bryż, grafika Jewhena Bezniski i in. Wtedy właśnie odkryłam dla siebie Lwów. Tak było zresztą nie tylko ze mną. Inną zasługą Switłyčnego było nawiązanie kontaktu między nami a ukraińską diasporą. Wszyscy, którzy przyjeżdżali z Zachodu w pewnym momencie trafiali do niego i do Nadii Switłyčnej, dopiero później Switłyčnyj poznawał ich z nami. Tak było np. z Wirą Wowk<sup>22</sup>, Anną-Halą Horbacz<sup>23</sup> i jej rodziną. Niezależnie od Switłyčnego poznałam czeską ukrainistkę

---

19. Jurij Badzio – historyk literatury, działacz opozycyjny. W 1979 roku skazany na maksymalny wyrok 12 lat pozbawienia wolności.

20. Jewhen Proniuk – filozof, działacz opozycyjnego ruchu lat 60-tych, autor szeregu artykułów krytycznych wobec systemu.

21. Bohdan Horyń – historyk sztuki, krytyk. Działacz opozycyjnego ruchu lat 60-ych. Aresztowany w 1965 i 1972 r. Pod koniec lat 80-ych jeden z lwowskich przywódców ruchu odrodzenia narodowego.

22. Wira Wowk (lit. pseud. Wiry Selańskiej), ur. 1926 – poetka emigracyjna, historyk literatury, tłumacz. Mieszka w Brazylii.

23. Anna-Hala Horbacz – tłumacz literatury ukraińskiej na język niemiecki. Zaangażowana w organizowanie międzynarodowej pomocy ukraińskim dysydentom. Jej córka, Kateryna, była działaczką Amnesty International.

Zinę Genyk-Berezowską<sup>24</sup>, z którą bardzo zaprzyjaźniłyśmy się. Genyk-Berezowska przyjeżdżała do Kijowa co roku. Była jedną z tych osób, które przemyślały z Ukrainy niektóre materiały. Kiedyś w Czopie na granicy przetrzymali ją całą dobę, bo wiozła z sobą wywiad Switłycznego dla *Dukli*. Dla mnie ten czeski kanał był wyjątkowo ważny. Oprócz Ziny odegrał rolę w przewożeniu literatury językoznawca Andrij Kurymski, nie mówiąc już o Mykole Muszynce<sup>25</sup>.

Kiedy zastanawiam się, co było przełomowym momentem dla naszego środowiska, które zapoczątkowało polaryzację wśród kijowskiej inteligencji, to myślę, że jednym z takich wydarzeń było opublikowanie poematu Iwana Dracza<sup>26</sup> „Niż u sonci” w tygodniku *Literaturna Ukraina* w 1961 roku. Stosunek do tego utworu wyznaczył pewną linię demarkacyjną. A sprowadzał się on nie tylko do różnic w literackich gustach; ten kto zachwycał się tym poematem, jak się później okazało, pozostał po naszej stronie barykady, ten zaś, kto go odrzucał, później opowiedział się po stronie władzy. Z biegiem czasu ta linia demarkacyjna przekształciła się w przepaść, która mogła się już tylko pogłębiać.

B.B.-A.H.: – *Zanim przejdziemy do dalszej opowieści o losach pokolenia lat sześćdziesiątych, proszę kilka słów powiedzieć o relacjach między wami a starszym pokoleniem pisarzy. Chodzi nam o takie postaci jak Ołeksandr Dowżenko<sup>27</sup>, Pawło Tyczyna, Maksym Rylski...*

---

24. Zina Genyk-Berezowska (1928-1991) – ukrainistka, tłumacz, wykładowca praskiego uniwersytetu Karola. W latach sześćdziesiątych związana z ruchem opozycyjnym na Ukrainie.

25. Mykoła Muszynka (ur. 1936) – słowacki ukrainista. Represjonowany za protest przeciwko wkroczeniu wojsk sowieckich do Czechosłowacji w 1968.

26. Iwan Dracz – poeta i działacz społeczno-polityczny, w l. 1989-92 – przewodniczący Narodowego Ruchu Ukrainy. Jego głośny debiut na początku lat 60-ych sprawił, że stał się najpopularniejszym poetą tego pokolenia.

27. Ołeksandr Dowżenko (1894-1956) – reżyser filmowy i pisarz; twórca ukraińskiej kinematografii (m.in. „Ziemia”). Dla pierwszych jego filmów przedstawiających wojnę domową i kolektywizację na Ukrainie charakterystyczna była maniera ekspresjonistyczna. W latach 30-ych został zmuszony do zmiany stylu i tematyki filmów. Za film „Ukraina w ogniu” poddany represjom.

M.K.: – Dla mnie osobiście obecność Tyczyny to bolesny problem. Raniły mnie żarty na jego temat. Dla mnie ważna była ta autentyczna twórczość Tyczyny, natomiast odrzucałam całą jego „usługową” działalność. Przypominam sobie takie wydarzenie: w szkole, w dziesiątej klasie, omawialiśmy wiersze Tyczyny: moi koledzy zaczęli się śmiać, ja zaś rozplakałam się i powiedziałam: „Czemu się śmiejecie, niczego przecież nie wiecie, nie znacie ‘Soniasznych klarnetów’ nie macie pojęcia o prawdziwej poezji”, po czym wybiegłam z klasy. Później zaczęłam to wszystko analizować, ale zawsze było to dla mnie bolesne. Pamiętam, że podsypiał w trakcie jakiegoś spotkania w Akademii. Patrzyłam na jego delikatną zniszczoną chorobą twarz i przychodziły mi na myśl słowa jego wiersza „Pochoron druha”: „Za życia jesteś martwy”. Było to niedługo przed jego śmiercią.

Ostatni raz widziałam go, kiedy byliśmy u niego z Ziną Genyk-Berezowską i Hryhorijem Koczurem<sup>28</sup>. Podczas tego spotkania cały czas miałam wrażenie, że mam do czynienia z jurodiwym. Były momenty, kiedy Tyczyna mówił o czymś bardzo celnie, po czym znienacka w to, co mówił wkradało się coś dzikiego, niezrozumiałego, szalonego. Zaiste „Fenomen epoki”, jak nazywał swój esej o Tyczynie Wasyl Stus<sup>29</sup>: osoba dramatu epoki, ale i jej ofiara.

I jeszcze jedno, dość zastanawiające zdarzenie, związane z Tyczyną. Byłam wtedy uczennicą; z okazji jakiegoś jubileuszu Tyczyny napisałam dla niego wiersz, taki sobie dziecięcy wierszyk. Tyczyna był bardzo wzruszony, tym bardziej, że bardzo mnie lubił. I właśnie na okoliczność tego telegramu przysłał mi telegram. W telegramie były takie jakieś zachwyty, że proszę, jaką mamy wspianą młodzież, a kończył się on

---

28. Hryhorij Koczur (1908-1995) – wybitny tłumacz. W latach 1943-1953 więziony, poddany represjom w latach 70-ych.

29. Wasyl Stus (1938-1985) – poeta i tłumacz. Uczestnik ruchu dysydenckiego lat 1965-1985, dwukrotnie osadzony w łagrach (1972-79 i 1980-1985). Był autorem 4 tomików poetyckich rozpowszechnianych w *samwydawie* i na emigracji. Napisał także kilka esejów, m.in. „Fenomen doby” („Fenomen epoki”), które obok poezji stały się materiałem dowodowym w śledztwie prowadzonym przeciwko niemu.



takim zdaniem: „Chwała Stalinowi, ojcu naszemu rodzone-mu”. Później, już po śmierci Tyczyny, dowiedziałam się, że na oryginale telegramu pisanym przez poetę i zachowanym w jego archiwum, takich słów nie było. Od tej pory zastanawiam się, czy i w innych sytuacjach nie dopisywano Tyczynie tych różnych Stalinów.

Muszę bardzo mocno podkreślić, że Tyczyna nigdy nikogo nie sprzedawał ani nie wydawał. Wiem, że kiedy w pierwszej połowie lat 60-tych usiłowano go skłonić do podpisania jakiegoś listu przeciwko nam, młodym, zaprotestował. Nienawidził Szamoty.

Z kolei Ryłski, chociaż był bardzo ostrożny, to jednak do końca życia bardziej aktywnie popierał młodych. Bardzo zmienił się, w sensie pozytywnym, Andrij Małyszko<sup>30</sup>. Po pierwsze napisał cykl wierszy „Prozorist”, utrzymany w duchu lat 60-tych, a po drugie bardzo aktywnie nas popierał.

Gdybym miała sobie odpowiedzieć na pytanie, kto dla mnie spełniał funkcję takich ojców duchowych, to przede wszystkim musiałabym wymienić Hryhorija Koczura. Koczur był dla mnie mistrzem i przewodnikiem. Po nim zaś Borys Antonenko-Dawydowycz<sup>31</sup>, który był dla mnie pierwszorzędnym źródłem informacji o ukraińskiej rewolucji, o uniwersałach, o 22 stycznia. To on opowiadał nam o represjach lat 30-tych i była to opowieść od „środka”, ponieważ on sam padł ofiarą represji. Opowiadał nam o więzionych i mordowanych literatach. Tak na marginesie, nad jego stołem znajdował się swego rodzaju ikonostas złożony ze zdjęć kolegów po piórze, którzy padli ofiarą prześladowań w latach

---

30. Andrij Małyszko (1912-1970) – poeta, autor wierszy i poematów o tematyce rewolucyjno-patriotycznej i wojennej. Laureat wielu nagród państwowych. W latach 60-ych publikuje tomy poezji, które zmieniły oblicze jego poezji (m.in. „Wiszczyj hołos”, 1961; „Prozorist”, 1962). Napisał także wiele pieśni – ballad („Pisnia pro rusznyczok”, „Kyjiwskij wals”).

31. Borys Antonenko-Dawydowycz (1899-1984) – pisarz i tłumacz. Autor prozy psychologicznej („Smert”, 1928, pol. tłum. „Za parawanem”, 1963), szkiców i reportaży („Zemleju ukrajinskoju”, 1930), tomu „Sybirski noweli”, w którym utrwalił lata pobytu w obozie i na zesłaniu (1936-1956).

trzydziestych oraz zdjęcia Symonenki<sup>32</sup>, Switłycznego i Dziuby<sup>33</sup>. Pewnego dnia po wystąpieniu Dziuby z samokrytyką, jego portret zniknął – Antonenko-Dawydowycz bardzo boleśnie przeżywał takie rzeczy.

Cały nasz krąg towarzyski zbierał się u Antonenki-Dawydowicza. Bywali u niego m.in. Jewhen Swerstiuk, Iwan Switłyczny i jego siostra Nadija, Ałła Horska, Wasyl Hołoborod'ko<sup>34</sup>. Nie mówię o uroczystościach Borysa Antonenki, bo na jego urodziny schodziły się prawdziwe tłumy. Wśród tych, których przyciągała jego osobowość, byli nie tylko przedstawiciele inteligencji twórczej, ale i ludzie z prowincji, którzy starali się coś zrobić dla kultury ukraińskiej, jak na przykład inżynier, który opracował ukraiński słownik terminologiczny. Z Borysem Antonenką utrzymywało bliskie kontakty wiele osób represjonowanych. Prowadził on także szeroką korespondencję i pomagał ludziom, w czym tylko mógł. Wiele osób czerpało pełnymi garściami z przebogatej skarbnicy jego pamięci. To właśnie u niego poznałam Gelija Sniegiriowa<sup>35</sup>, znanego dysydenta, zakatowanego przez KGB. Sniegiriow zbierał wtedy materiały do powieści „Naboji dla rozstrifu” o sfabrykowanym procesie Związku Wyzwolenia Ukrainy. U Borysa

---

32. Wasyl Symonenko (1935-1963) – poeta. Jego debiutancki tom „Tysza i hrim” oraz wydane pośmiertne poezje i fragmenty dziennika wywarły ogromny wpływ na pokolenie lat sześćdziesiątych dzięki swej bezpośredniości i bezkompromisowości.

33. Iwan Dziuba – (ur. 1931) – czołowy krytyk literacki w latach 60-ych, animator niezależnego życia kulturalnego w Kijowie, autor głośnej rozprawy „Internacjonalizm czy rusyfikacja”, demaskującej rusyfikacyjną politykę władz wobec republik związkowych. W 1973 roku po kilkumiesięcznym pobycie w więzieniu wystąpił z samokrytyką.

34. Wasyl Hołoborod'ko (ur. 1945) – poeta, autor liryków refleksyjnych utrzymanych w poetyce surrealizmu. Po debiucie na łamach pism literackich został uznany przez Dziubę za najbardziej obiecującego młodego poetę. Mimo to nie dopuszczono do druku tomiku jego poezji. W 1970 r. wydano na Zachodzie wybór wierszy, co stało się przyczyną przesładowań pisarza. Pierwszy zbiorek na Ukrainie ukazał się w 1988 r. Polski wybór „Ikar na motylach skrzydłach”, 1995.

35. Gelij Sniegiriow – dziennikarz i pisarz, autor „Naboji dla rozstrifu” (rękopis, 1976). Aresztowany wkrótce po przekazaniu rękopisu na Zachód. Zmarł po dwóch miesiącach śledztwa.

Antonienki poznałam także inną niezwykłą postać – byłego żołnierza formacji Siczowi Strilci.

Natomiast u Hryhorija Koczura zbierali się głównie tłumacze, np. Anatolij Perepadia, Dmytro Czerewatenko, Dmytro Ponomarczuk, Mykoła Łukasz. Przychodzili tam również początkujący tłumacze. Z naszego kręgu towarzyskiego bywali tam Jurij Badzio, jego żona, Switłana Kyryczenko, Nadija Switłyčna, Iwan Switłyčnýj wraz z żoną. U Koczura przesiadywaliśmy niemal bez przerwy. Do niego, podobnie jak do Switłycznego, zachodzili wszyscy goście z zagranicy, odwiedzający Kijów. Pamiętam wizyty Ziny Genyk-Berezowskiej, Andrija Kurymskiego, Wiry Wowk, Anny-Hali Horbacz i jej córki. Później składali tam wizyty ludzie przez nich poleceni. W ogóle wszyscy goście zagraniczni mieli ustaloną trasę; stałymi punktami programu była wizyta w muzeum Iwana Honczara i odwiedziny u Koczura. Te spotkania u Koczura (w przeciwieństwie do politycznych spotkań u Borysa Antonienki-Dawydowycza) to było prawdziwe święto erudycji, poezji, wiedzy. Koczur był człowiekiem, który absolutnie wszystko wiedział, wszystko pamiętał. Jeżeli chodzi o przekłady, to wszyscy się z nim konsultowali, tak było na przykład z tłumaczeniami Stusa „Sonetów do Orfeusza” Rilkego. Stus z obozu przysyłał swoje przekłady żonie, ona zaś przekazywała je Koczurovi, który szczegółowo je recenzował, potem zaś Stus odpowiadał na jego uwagi – zupełnie jakby nie istniały kraty i cenzura, nie było „małej” i „wielkiej zony” („wielką zoną” nazywali więźniowie obozów, warunki, w których żyliśmy my, pozostający na wolności). Już po śmierci Stusa, Koczur przekazał mi obszerny list Stusa z prawie wszystkimi jego przekładami „Sonetów do Orfeusza” ze swymi rozważaniami tłumacza na marginesach. W latach siedemdziesiątych władze zaczęły Koczura prześladować, w końcu wyrzucono go ze Związku Pisarzy za „związki z zagranicą”.

Z tamtych czasów pamiętam także, jak z Ałłą Horską oddawałyśmy matce Wasyla Symonenki oryginał jego „Dzienników”. Nie mogę powiedzieć, że blisko znałam Symonenkę. Poznałam go na trzy miesiące przed jego śmiercią, kiedy było już wiadomo, że jest nieuleczalnie chory. Przypro-

wadził go do mnie do Instytutu Literatury Iwan Switłycznyj. Po tej pierwszej rozmowie w Instytucie kilka razy był u mnie w domu. Na dwa tygodnie przed jego śmiercią, kiedy leżał już w szpitalu, ja, Jewhen Swerstiuk i Roman Korohodski<sup>36</sup> odwiedzaliśmy go. To było niesamowite dla mnie przeżycie, kiedy obserwowałam, jak Symonenko zmagał się z bólem. Kiedy czuł, że już nie wytrzyma, prosił, bym wychodziła z sali. Wychodziłam na korytarz, płakałam i znów wracałam. Niemniej, kiedy czuł się trochę lepiej, to potrafił tak zabawnie opowiadać, że śmialiśmy się w głos. W tych chwilach dużo rozmawialiśmy. Utkwiło mi w pamięci, jak mówił, że póki człowiek jest aktywny, to wokół niego tworzy się jakieś koło ludzi, pojęć, stereotypów, tworzy się jakiś jego stały świat. Ale by żyć, człowiek powinien to koło rozerwać i pójść dalej, i znów ten proces powtarzać. Póki człowiek zdolny jest rozrywać te koła i tworzyć nowe, póty żyje.

Wszyscy pojechaliśmy na pogrzeb Symonenki: Iwan Dziuba, Jewhen Swerstiuk, krytyk Leonid Kowałenko, Ałła Horska. Był duży mróz. Niosłyśmy z Ałłą kiście kaliny i czerwoną kitajkę. W jakiś czas później zorganizowaliśmy wieczór pamięci Symonenki. Było to niezwykle poruszające wydarzenie. Ja, Nadija Switłyczna i kilka jeszcze osób recytowało jego wiersze. Dzięki nagraniom magnetofonowym, których dokonywał Switłycznyj, zabrzmiał na tym wieczorze również głos samego Symonenki. Ten pierwszy wieczór miał ogromne znaczenie dla całej kijowskiej inteligencji.

„Dziennik” Wasyla Symonenki ukazał się za granicą i wkrótce potem zaczęła się nagonka na Switłycznego, że niby to on przekazał oryginał „Dziennika” na Zachód. Pojawił się artykuł szkalujący Switłycznego pt. „Everest pidłosti”, którego autorem był Mykoła Nehoda. Wtedy postanowiono zwrócić matce i żonie Symonenki rękopis „Dziennika”, który poeta przed śmiercią przekazał Switłycznemu. Switłyczny poprosił mnie i Ałłę Horską, byśmy ten rękopis odwiozły matce Symonenki do Czerkas. Ta wizyta była bardzo przykra, ponie-

---

36. Roman Korohodski – historyk sztuki, krytyk filmowy, autor książki poświęconej twórczości Sergiusza Paradzanowa. Był jednym z organizatorów niezależnego życia kulturalnego w Kijowie.

waż wcześniej władze zmusiły matkę poety do napisania pełnego oburzenia listu otwartego w sprawie przekazania rękopisów jej syna na Zachód. Kiedy przyszliśmy, matka i żona Symonenki nie miały odwagi spojrzeć nam w oczy. Oddaliśmy rękopis „Dziennika” i natychmiast wyszliśmy, bo i nam było bardzo nieprzyjemnie. Kiedy wychodziłyśmy z budynku, w którym mieszkała rodzina Symonenki, natknęłyśmy się na autora wspomnianego artykułu (mieszkał, zdaje się, w tym samym domu). Kiedy Nehoda nas dostrzegł, momentalnie jakby się skurczył – nie wiem, może myślał, że go pobijemy? Stamtąd pojechaliśmy na grób Symonenki, wkrótce zjawili się tajniacy (mówiliśmy o nich „historycy sztuki w cywilu”), było ich chyba z sześciu. Ałła Horska miała duże poczucie humoru, więc jak tylko tajniacy się pojawili, mówiła do mnie „Michasiu, fotografują nas, pozwól, że poprawię ci fryzurę”. I odegrałyśmy taką komedię, najpierw ona mnie przycesała, potem ja ją.

A skoro już mówię o Alle, to przypominam sobie jeszcze takie oderwane od siebie obrazy. Pamiętam, jak obchodziliśmy siedemdziesięciolecie Ałły i Iwana Switłycznego (każde z nich z osobna kończyło po trzydziści pięć lat). To było ostatnie wydarzenie towarzyskie przed pierwszymi aresztowaniami. Utworzono Centralny Komitet Jubileuszowy, a jego przewodniczącym został Wiaczesław Czornowił<sup>37</sup>. I wprawdzie miało to być święto Horskiej i Switłycznego, ale uprawialiśmy kult jednostki – przewodniczącego Komitetu. Na przykład organizowaliśmy jakiś konkurs, ktoś go zwycięża i choć to było święto, jak powiedziałam, Ałły i Iwana, ale nagrodą jest portret przewodniczącego Czornowiła. Pamiętam jak dziś: za stołem siedzi prezydium Centralnego Komitetu Jubileuszowego, w skrócie CJK, a za plecami wisi hasło: „Niech żyje CJK – natchnienie i organizator wszystkich

---

37. Wiaczesław Czornowił – dziennikarz z wykształcenia, autor drugoobiegowej książki o procesach 1966 r. („Łycho z rozumu”), za którą został skazany w 1967 r. Niebawem wyszedł na wolność, ale nie zaniechał działalności – został redaktorem pierwszego niezależnego pisma *Ukrajinskyj wisnyk*. Uwięziony powtórnie w 1972 r. Łącznie odbył 17 lat łagrów. Po wyjściu na wolność w 1987 r. reaktywował *Wisnyk* i rozpoczął działalność polityczną.

naszych zwycięstw i porażek”. Czuliśmy się absolutnie wolni, żarty sypały się jak z rękawa, wymyślaliśmy niezliczoną ilość nowych parodii piosenek. To wszystko działo się w pracowni artystki Ludmiły Semykinej.

Inny obraz, związany z Ałłą Horską dotyczy zniszczenia witrażu, którego była współautorką. Witraż znajdował się w hallu Uniwersytetu Kijowskiego i przedstawiał Szewczenkę, wspierającego swym ramieniem kobietę (symbol Ukrainy). Na witrażu widniały słowa „Czy będzie sąd, czy przyjdzie kara...”. Tak się złożyło, że byłam chyba jedyną osobą, która widziała ten witraż w pełnej krasie tuż po ukończeniu. A było to tak. Mieszkałam niedaleko Uniwersytetu. Gdzieś koło północy telefon od męża Ałły Horskiej, Witi Zareckiego, który mówi: „Skończyliśmy witraż, przyjdź, zobacz jak wygląda”. Pobiegałam w środku nocy. W ten sposób zobaczyłam ten witraż. Zrobił na mnie duże wrażenie. Pożegnaliśmy się, umawiając na spotkanie nazajutrz o czwartej popołudniu na uroczystym odsłonięciu. Następnego dnia przyszedłam na czwartą na Uniwersytet, ale witrażu nie było. Ze względu na to wrażenie, że Szewczenko jest za kratami (technika witrażu wymagała konstrukcji podtrzymującej elementy składowe), rektor Uniwersytetu, Szewc, własnoręcznie go rozbił. Wszyscy moi przyjaciele byli wstrząśnięci: Luda Semykina płakała, Wiktor Zarecki i Panas Załywacha<sup>38</sup> stali pobladli, a Ałła oniemiała.

I jeszcze moje ostatnie spotkanie z Ałłą Horską, tuż przed jej śmiercią. Była jesień. Ałła wraz z dwoma innymi artystami robiła wystrój jakiejś kawiarni w obwodzie czerkaskim. Za ten wystrój płacono im w naturze: jabłkami, cebulą, kartoflami... Dostali od zleceniodawców samochód i zdecydowali, że wszystkim nam przywiozą zaopatrzenie. I oto siedzę w domu i nagle słyszę dzwonek do drzwi, otwieram i widzę następujący obraz: w korytarzu stoi piękna, wysoka Ałła z burzą złotych włosów, ogorzała od słońca, z zawieszonymi na szyi dwoma wiankami złotej cebuli. Kiedy ją taką złotą, pełną

---

38. Panas Załywacha (ur. 1925) – malarz. Zaangażowany w ruch opozycyjny lat 1960-1989. W 1965 r. został zaaresztowany, po wyjściu z łagru nadal jednak uczestniczył w ruchu opozycyjnym.

życia zobaczyłam, od razu przyszło mi na myśl: oto bogini urodzaju Cerera. Za nią stał taki mały Saszko z torbą kartofli i jabłek. „To dla ciebie część mojej zapłaty” – mówi Ałła. Zanieśli wszystko na balkon, szybko pożegnali się ze mną i pojechali również innym zawieźć zaopatrzenie.

Później przyszła wiadomość o jej śmierci. Pogrzeb. Trzy przyszywane niefortunnie męskie postacie (ojciec, mąż i syn). Przez jakiś czas potem przychodził do mnie mąż Ałły – długo nie mógł dojść do siebie, żeby posiedzieć, porozmawiać. Zarecki, znajdował w domu, w którym zabito Ałłę jakieś dziwne rzeczy, które nie wiadomo, skąd się tam wzięły. Próbował dociec tajemnicy śmierci Ałły – bez powodzenia. Później zajął się tym syn Ałły Horskij, nawet dostał jakieś materiały śledcze. Niedawno w Kijowie ukazała się interesująca książka, zawierająca artykuły poświęcone Alie, wspomnienia, listy.

B.B.-A.H.: – *Ałła Horska i Iwan Switłyecznyj jednoczyli wasze środowisko, jednak za duchowego przywódcę pokolenia lat 60-tych uznaje się Iwana Dziubę. Jaka była jego rola?*

M.K.: – Dziuba był również jedną z tych centralnych postaci naszego pokolenia ale w inny, niż Ałła i Iwan, sposób. Przecież cały nasz ruch rozpoczął się od wieczorów literackich, na których występowali Dracz, Winhranowski<sup>39</sup> i Dziuba. Dziuba zwykle miał wprowadzenie. Jego sądy były niezwykle trafne i ostre. Pamiętam jak w drugą rocznicę śmierci Symonenki na spotkaniu w Związku Pisarzy Dziuba mówił o tym, że teraz wszyscy kochamy Symonenkę, to jest teraz nawet dobrze widziane, ale zadajmy sobie pytanie, jak go kochamy. I dalej mówił, że kocha go już teraz nawet *Literaturna Ukraina*, redagowana jak gazetka ścienna w rejonowej komendzie milicji; kocha go też Leonid Nowy-

---

39. Mykoła Winhranowski (ur. 1936) – pisarz. Na początku lat sześćdziesiątych zdobył rozgłos dzięki wierszom rozsadzającym socrealistyczny kanon.

czenko<sup>40</sup>... Tu sala żywiołowo zareagowała i pamiętam, jak Nowyczenko wychodzi z sali odprowadzany okrzykami „Hańba, Hańba”. Później Dziuba napisał jedną z najważniejszych rzeczy dla naszego pokolenia: – „Internacjonalizm czy rusyfikacja?”. Pierwszą osobą, która przepisywała tę pracę, byłam ja. To zadziwiające, że nawet KGB tego nie odkryło. Dziuba przychodził do mnie do biblioteki i przynosił swoje brudnopisy, a ja przepisywałam je na maszynie. Ten egzemplarz „Internacjonalizmu...”, który usiłował wywieźć na Zachód czechosłowacki ukrajinista Mykoła Muszynka, był egzemplarzem przeze mnie przepisany. Zawsze się dziwiłam, iż KGB tego nie odkryło. Wśród różnych innych stawianych mi zarzutów tego oskarżenia nie było.

B.B.-A.H.: – *Jak z Pani perspektywy wyglądała pierwsza fala represji?*

M.K.: – Dowiedzieliśmy się o aresztowaniach pod koniec lata. Spośród aresztowanych najbardziej bliscy mi byli Iwan Switłyczny, Panas Załywacha i bracia Horyniowie. Wtedy zebraliśmy się – nie przypominam sobie, gdzie – i zdecydowaliśmy, że musimy o tym powiedzieć. Zaproponowałam, że ja to zrobię, ale moi przyjaciele nie zgodzili się na to, ponieważ byłam wtedy sama z pięcioletnim dzieckiem. I właśnie wtedy Dziuba zadeklarował, że on o tym powie. Na okazję nie trzeba było długo czekać, bo właśnie miała się odbyć premiera filmu Sergiusza Paradżanowa „Cienie zapomnianych przodków” w kinie „Ukraina”. Ta premiera to było wielkie wydarzenie, więc sala była wypełniona po brzegi. Przed projekcją Dziuba opowiedział o aresztowaniach, wskazał na analogię z 1937 rokiem. Jeszcze Dziuba nie skończył mówić, a już wyła syrena alarmowa. I tu muszę sprostować informację, która pojawiła się w wielu publikacjach na

---

40. Leonid Nowyczenko (1914-1996) – historyk literatury, krytyk. Znaczna część jego prac poświęcona jest zdobyczom socrealizmu w literaturze ukraińskiej. Po krótkim okresie odwilżowego pisania, już w 1963 r. na powrót zajął się krytyką poetów, którzy nie pasowali do socrealistycznego kanonu.



ten temat: z reguły pisze się, że po przemówieniu Dziuby, hasło „Kto przeciw tyranii, niech wstanie!” rzucił Stus. Hasło to rzucił Czornowił, Stus zaś głośno go poparł. Na wezwanie Czornowiła wstało około stu osób spośród chyba pięciuset obecnych, między innymi Stus i ja. Byłam wtedy obok Stusa i widziałam, że był cały rozedrgany. Objęłam go drżącego i pamiętam, że przyszło mi do głowy pytanie, jak ten chłopiec będzie w stanie żyć w tym świecie?! Po zakończeniu wieczoru byliśmy pewni, że Stus i Czornowił zostaną aresztowani. Dlatego Stusa odprowadzało do domu dwóch jego kolegów, asystentów. Nikogo jednak nie aresztowano, ale następnego dnia Stusa zwolniono z pracy z Instytutu za „niegodne doktoranta zachowanie w miejscach publicznych”. Kiedy Stus otrzymał pismo zwalniające go z pracy, poszedł do zastępcy dyrektora Instytutu i powiedział mu, że kiedyś będzie się tego pisma wstydził. Po zwolnieniu Stus nie mógł już znaleźć na dłużej stałego miejsca zatrudnienia: jakiś czas pracował jako palacz, próbował zatrudnić się przy budowie metra, ale nic z tego nie wyszło.

Po tej historii na premierze filmu Paradzanowa zaczęła się epopeja z wyrzucaniem mnie z partii. Najpierw sprawa stanęła na posiedzeniu organizacji partyjnej w Instytucie Literatury, następnie była Komisja Starych Bolszewików organizacji partyjnej Akademii Nauk, potem biuro organizacji partyjnej Akademii, dalej Komisja Starych Bolszewików rejonowego komitetu partii, potem posiedzenie komitetu rejonowego partii, potem Komisja Starych Bolszewików miejskiego komitetu, posiedzenie miejskiego komitetu, w końcu Komisja Starych Bolszewików obwodowego komitetu partii i wreszcie biuro obwodowego komitetu partii. Na początku tej drogi przez mękę bardzo się denerwowałam, nie było to w końcu przyjemne przeżycie. W komitecie rejonowym tak bardzo na mnie krzyczano, że w końcu poprosiłam przewodniczącego zebrania o przywołanie do porządku moich oponentów, powiedziałam: „W naszych czasach nawet śledczy zachowują się grzeczniej” i wyszłam trzaskając drzwiami. Moje zachowanie określono jako zuchwałe, ale człowiek, który na mnie krzychał, otrzymał naganę. W miarę, jak to włączanie mnie po komitetach się

przedłużało, byłam coraz spokojniejsza. A na koniec czułam się już zupełnie swobodnie. Znajomym opowiadałam, że na komisjach mówię już aforyzmami, a jak to jeszcze chwilę potrwa, to zacznę mówić wierszem. W końcu dojrzałam do Komisji Starych Bolszewików komitetu obwodowego. Zaczyna się spotkanie, najpierw wypytują mnie o nazwisko, moje związki z Mychajłem Kociubyńskim, sytuację rodzinną, w końcu jeden z członków Komisji pyta: „Co będzie Pani myśleć jutro, kiedy złoży Pani legitymację partyjną?” Na to ja, bez specjalnego namysłu: „Wiecie, kiedy wstępowałam do partii w czasach studenckich, byłam jeszcze bardzo młodą osobą wierzącą w ideały. Ale jeżeli moje życie tak się złożyło, że muszę wybierać między ideałem a legitymacją partyjną, to ideały zostawiam sobie, a wam oddaję legitymację”. Komisja osłupiała, a ja spokojnie wstałam i powiedziałam: „To ja już chyba mogę odejść?”. Wyszłam i poczułam się tak jakoś lekko. Na Wzgórzu św. Włodzimierza spotkałam Stusa. Przeczytał mi swoje przekłady Garcii Lorki. Pomimo, że właśnie wyrzucono mnie z partii (a trzeba wiedzieć, co to wtedy oznaczało), czułam się po prostu szczęśliwa. Po wyrzuceniu z partii usunięto mnie z wydziału literatury i skierowano do działu szewczenkoznawstwa. Napisałam tam książkę „Etiudy o poetyce Szewczenki”, ale Rada Naukowa Instytutu nie dopuściła jej do druku. Książka ukazała się dopiero w 1990 roku.

W 1968 roku w Instytucie przeprowadzono ocenę działalności naukowej pracowników. Przed tą oceną dyrektor Instytutu, Mykoła Szamota, zebrał wszystkich członków Rady Naukowej i otwarcie ostrzegł, że kto będzie za moim pozostaniem w Instytucie, ten wystąpi przeciwko władzy radzieckiej. Kiedy przyszło co do czego, tylko jedna osoba z Instytutu głosowała za mną, a był to Leonid Nowyczenko.

B.B.-A.H.: – *Nowyczenko? Ten pogromca literatury ukraińskiej?*

M.K.: – Ten sam. Nowyczenko swój rozum miał, czytał moją pracę o Szewcencie. Nie był to człowiek pozbawiony talentu, ot, jeszcze jeden „fenomen epoki”. Poza tym nie bał się Sza-

moty. A skoro już o Szamocie mowa, to opowiem zabawną sytuację, którą przeżyłam w czasie wyrzucania mnie z partii. W Komitecie zapytano mnie w pewnym momencie, kto jest kierownikiem mojego wydziału. „Szamota” – odpowiedziałam. „A kto jest kierownikiem Switłycznego?”. „Szamota”. „A Badzia?”. „Szamota”. „A kto jest promotorem Stusa?”. „Szamota”. I pomimo, że sytuacja nie była wesoła, roześmiałam się. Połowa ukraińskich dysydentów wyszła spod ręki Szamoty.

Po zwolnieniu mnie z Instytutu przez dziewięć miesięcy nie miałam pracy. Byłam sama z córką i nie było mi łatwo. Wtedy odczułam, że moje nazwisko z jednej strony mnie broni, z drugiej zaś jest źródłem moich kłopotów. Broniło dlatego, że aresztowanie mnie nie było sprawą łatwą – trzeba było mieć coś bardzo poważnego. Przeszkadzało mi, bo z moim nazwiskiem i z moją książką pracy (gdzie odnotowano szczeble mojej kariery naukowej), niełatwo było dostać posadę korektora w jakimś niewielkim wydawnictwie. Było to po prostu niemożliwe. Ostatecznie jednak dostałam pracę, podobno dzięki wstawiennictwu kanadyjskiej komunistki Mariji Skrypnyk. Miało to być tak: kiedy zostałam sama z dzieckiem, bez pracy, to Marija Skrypnyk zwróciła się z zapytaniem do Komunistycznej Partii Kanady, dlaczego taka osoba jak ja, z pięcioletnim dzieckiem i bez jakiegś wielkiej winy tuła się bez pracy. Miałam szczęście, że był to „liberalny” 1968 rok, kiedy jeszcze nie było tak strasznie. Przez dziesiąte usta dotarła do mnie informacja z Komitetu Centralnego (wcześniej podobno monitowanego przez Kandyjczyków), że jeżeli zgłoszę się do pracy w nowo otwieranym wydawnictwie „Wyzsza Szkoła”, to zostanę przyjęta. Posłałam i rzeczywiście wszystko tam było już przygotowane na moje przyjęcie. Pracowałam tam jako redaktor literacki przez osiemnaście lat. Ludzie, wśród których przyszło mi pracować, byli jakby z innego świata, jednak dobrze się do mnie odnosili. Nawet wtedy, kiedy obsmarowywano mnie w prasie.

Pamiętam, że jedną z najbardziej nieprzyjemnych kampanii przeciwko mnie oparto na przesyłkach z zagranicy. To strasznie działało na wyobraźnię *homo sovieticus*. Z tą kampanią związana jest osoba Tetiany Horochowycz, nauczycielki

z Toronto. Znałyśmy się, korespondowałyśmy ze sobą, a kiedy Tetiana przyjeżdżała na Ukrainę, zawsze przywoziła mi jakiś upominek. Przy jakiejś okazji Horochowycz zatrzymano na granicy i albo ze strachu coś zeznała, albo też jej zeznania zostały sprokurowane. Dość, że zeznania KGB przekazało mojemu dyrektorowi, z poleceniem, by przeprowadził ze mną rozmowę wyjaśniającą. Dziś nawet nie chce się w to wierzyć, ale koronnym dowodem przeciwko mnie było to, że w notatniku Tetiany był zapisek: „Dla Michasi bluzkę”. Przypominam sobie, że powiedziałam wtedy: „No i co z tego? Przecież gdybym to ja do niej jechała, też bym kupiła dla niej jakiś upominek”. Jeszcze chwilę dyskutowałam z moim dyrektorem, a w końcu powiedziałam, że na te szmaciane tematy nie będę więcej rozmawiać. Tak wyglądał wtedy mój dzień powszedni. W pracy urządzono mi mini-obóz. Na każdym kroku mnie kontrolowano. Kiedyś pojechałam do Czernihowa na grób rodziców i spóźniłam się do pracy o piętnaście minut, może pół godziny, nie więcej. To wszystko zostało skrupulatnie odnotowane i potrącono mi w związku z tym całą trzynastkę. Nie mogłam wyjść do szewca, żeby mi nie wlepiono nagany. Taki mały terror. Nasiliło się to, gdy zaczęła działać Grupa Helsińska (tj. w 1977 r.). Ja sama do niej nie należałam, ale przyjaźniłam się z założycielami Grupy – Marynowiczem, Matusiewiczem i z Marczenką. Kiedy ich aresztowano, przeprowadzono u mnie rewizję, podczas której znaleziono deklarację Grupy Helsińskiej. Wtedy organy zdecydowały, że należy mnie zastraszyć. Zorganizowano więc w moim wydawnictwie zebranie wszystkich pracowników, przy czym poinformowano mnie o tym na kilka godzin wcześniej. Zdążyłam zadzwonić tylko do córki. Córka miała wtedy trzynaście lat i zdecydowała się przyjść do wydawnictwa. Opowiadała mi później, że z tyłu nikt nie głosował. Na zebraniu wypowiadały się tylko osoby funkcyjne, wszyscy oni wypowiadali bez specjalnych emocji ten sam tekst, sprowadzający się do tego, że jestem elementem antyradzieckim. W mojej obronie wystąpiły dwie osoby, między innymi obecna żona Marynowicza – Luba. Co później z nią wyrabiali, to trudno opowiedzieć. Mnie już dano spokój, a ona wciąż jeszcze miała kłopoty, w końcu zmuszono ją do odejścia z pracy. KGB

usiłowało wytworzyć wokół mnie pustkę. Próbowano zastraszyć szefową mojego działu, moich kolegów, w szczególnie trudnej sytuacji znajdowała się moja kierowniczką. Właśnie ze względu na nią zdecydowałam się w końcu powiedzieć, że przemyśle swoje postępowanie.

Żeby Paniom uświadomić, jakie były czasy, opowiem rzecz bardzo osobistą, o której do tej pory nie mówiłam. Wspomniałam już, że jednym z najbliższych mi ludzi był Borys Antonenko-Dawydowycz. Byłam z nim blisko, więc widziałam, jak mu ciężko. Jego żona była chora psychicznie, zaś syn stał się kryminalistą (ze względu na osobę Antonenki-Dawydowycza, myślę, że KGB miało w tym udział). Kiedy zmarła jego żona, Antonenko-Dawydowycz znalazł się w bardzo trudnej sytuacji. Wymagał opieki, a że z kolei ja mieszkalam w jednym pokoju z córką i wnuczką, więc Borys Dmytrowycz zaproponował mi, bym się do niego wprowadziła. Chciał, żebyśmy się pobrali. Przeniosłam się do niego, zapewniłam mu najlepszą opiekę, na jaką było mnie stać. Nasz dom był ciepły i przytulny. Z biegiem czasu Borys Antonenko-Dawydowycz coraz bardziej się do mnie przywiązywał. Coraz bardziej chciał się ze mną ożenić i tu zaczęła się nasza epopeja. Do dziś mam teczkę z dokumentami, które dotyczą tej sprawy. Ciężko mi o tym mówić. Złożyliśmy w Urzędzie Stanu Cywilnego podanie, że chcemy się pobrać. Przyjęto je. Na trzy dni przed terminem ślubu nadeszło oświadczenie jego syna (przebywającego w więzieniu), w którym prosił, by zwrócono na mnie uwagę, ponieważ jestem aferzystką. Podobny list poszedł do mojej pracy. Kiedy przyszliśmy do Urzędu Stanu Cywilnego, by wziąć ślub, kierowniczką Urzędu wezwała mnie do swojego gabinetu i powiadomiła o oświadczeniu syna Borysa Dmytrowycza, stwierdzając, że trzeba się mu przyjrzeć. Córka zrozumiała, że coś jest nie w porządku, wpadła do gabinetu i zaczęła krzyczeć na kierowniczkę. Ja i żona Switłycznego, Lola, starałyśmy się ją wyciągnąć stamtąd. Z naszego ślubu nic nie wyszło. Ale Borys Antonenko-Dawydowycz bardzo chciał ten nasz związek sfinalizować, mawiał, że jestem ostatnią miłością jego życia, jego „kobietką”. Któregoś razu dał mi pieniądze i polecił kupić sobie obrączkę. Kiedy mówiłam, że jej nie potrzebuję, nalegał

tak długo, aż w końcu ją kupiłam. Następnego dnia po zejściu w Urzędzie Stanu Cywilnego w naszym domu zjawił się milicjant: „Czy tutaj mieszka Tania Kociubyńska? Jest trzech świadków, którzy zeznają, że usiłowaliście pobić kierowniczkę Urzędu Stanu Cywilnego”. A przecież podczas zejścia nikogo oprócz nas nie było w gabinecie! Milicjant zabrał moją córkę, miała wtedy siedemnaście lat, postawili przed kolegium, na którym pytano ją głównie o to, dlaczego mnie, swoją matkę, broniła. Ukarano ją grzywną, którą szybko zapłaciliśmy, żeby tylko nie pisali o tym do niej do pracy.

Trzy razy składaliśmy podanie, że chcemy się pobrać i trzy razy nasze podanie było odrzucane. Później sądownie próbowano orzec ubezwłasnowolnienie. Starano się dowieść, że Borys Dmytrowycz jest niepo czytalny. Przychodzili do nas lekarze psychiatrzy, trwała nagonka na mnie w pracy, wciągnęli w to syna Borysa Antonenki-Dawydowycza. W końcu doprowadzili do tego, że wyprowadziłam się od niego. Niemniej jednak Borys Dmytrowycz słał pisma, petycje i protesty do różnych urzędów. Pisał do prokuratury, do sądu do Komitetu Centralnego – bez skutku. Wkrótce po tej historii Antonenko-Dawydowycz umarł. A i ja z tej epopei wyszłam ledwo żywa.

Ten system nacisków przenikał we wszystkie, nawet najbardziej intymne dziedziny życia. Ta historia z Borysem Antonenką-Dawydowyczem była jedną z najtrudniejszych w moim życiu, tym bardziej, że usiłowano stworzyć wrażenie, że opiekuję się nim z wyrachowania, by przejąć jego mieszkanie.

*B.B.-A.H.: – Wydarzeniem konsolidującym kijowskie środowisko poprzez protesty była premiera filmu Paradżanowa. Dwa lata wcześniej miało miejsce zdarzenie, które wstrząsnęło opinią publiczną – był nią pożar Biblioteki Akademii Nauk. Jak Pani pamięta tamto wydarzenie?*

*M.K.: – W dzień pożaru nie było mnie w Kijowie. Nazajutrz przyjechałam do miasta i od razu poszłam na pogorzelisko. Wraz z innymi pracownikami AN rozgrzebywałam ugaszone, ale miejscami tłące się góry popalonych, ociekających wodą książek. To było wstrząsające. Grzebiesz się w tym i nagle wyciągasz egzemplarz „Istorii Zaporoskoji Siczy” Beauplane’a.*

Jeżeli książka trzyma się jako tako, odnosisz ją na bok, by ją wysuszone. Grzebiesz dalej i nagle natykasz się na źródło ognia. Zaczyna się gaszenie pożaru i znów rozgrzebujesz następne stosy książek. Dwa dni pracowałam przy ratowaniu książek z biblioteki, trzeciego dnia zachorowałam: nie wiem czy zatrulałam się wyziewami z tego pogorzeliska, czy było to zbyt wielkie przeżycie – dość, że zachorowałam.

B.B.-A.H.: – *Kiedy pokolenie lat sześćdziesiątych wkraczało w życie kulturalne, to obok Pani, Swerstiuka, Switłycznego, Stusa, Horyniów, Czornowoła, Liny Kostenko, w jego skład wchodził również Dmytro Pawłyczko<sup>41</sup>, Iwan Dracz, Mykoła Winhranowski, Witalij Korotycz, czyli twórcy, pozostający przez cały czas w jakiś sposób w oficjalnym obiegu życia literackiego. Czy po pierwszej fali aresztowań były jakieś kontakty między wami a nimi? Czy ci, oficjalnie uznawani poeci pomagali wam?*

M.K.: – Nie przypominam sobie takich wypadków. Jakoś tak definitywnie się rozstaliśmy. Niektórzy z nich starali się zachowywać neutralnie, na przykład Iwan Dracz. Natomiast Mykoła Winhranowski miewał zachowania nie do przyjęcia. Żona Switłycznego na przykład nie może mu wybaczyć następującej historii: przy okazji jakiejś przepustki z zesłania, Switłyczny odwiedził Mykołę Łukasza, Winhranowski zaś przy najbliższej okazji zrobił Łukaszowi awanturę za to, że ten śmiał przyjąć u siebie kogoś takiego jak Switłyczny. Takie rzeczy też miały miejsce. Jeżeli już można było na kogoś liczyć, to chyba jednak na pisarzy starszego pokolenia. Myślę, że zwracano się o pomoc do Ołesia Honczara, który jeżeli tylko było to w jego mocy, to pomagał. Ale te przypadki tończyły w morzu donosów i świństw. W publicznych donosach celowała *Literaturna Ukraina*. Pamiętam tam felietony o mnie i o Borysie Antonence-Dawydowyczu. Zaatakowano w

---

41. Dmytro Pawłyczko (ur. 1929) – poeta i tłumacz. Debiutował w okresie przedodwilżowym. Wiersze publikowane w pierwszej połowie lat 60-tych były bliskie poezji szestydesiatników. Później jednak poeta powraca do twórczości o wymowie publicystycznej.

nich nawet moją córkę, że uczy się bardzo źle, ale ubiera się Bóg wie jak. Proszę sobie wyobrazić, że po tej publikacji z mojej pracy wysłano komisję do szkoły mojej córki, żeby sprawdziła, jak też jest z moją córką. Dyrektor szkoły bardzo się zdziwił tym najściem, ale się nie przestraszył: „Mamy dzieci, które się jeszcze gorzej uczą od Kociubynskiej ale, nie wiem dlaczego, gazety o nich nie piszą. A ubiera się normalnie”. Na końcu tego artykułu była uwaga, że został on napisany na podstawie listów oburzonych ludzi pracy. Po tej historii z komisją posłałam więc do redaktora naczelnego *Literaturnej Ukrainy*, Witalija Winohradskiego, i zażądałam pokazania mi tych listów. Nie widziałam wcześniej człowieka, który aż tak bałby się spojrzeć mi prosto w oczy. Wzrok wbił w podłogę. Rzecz jasna, żadnego listu mi nie pokazał.

B.B.-A.H.: – *A jak wyglądało odchodzenie od was ludzi takich jak Dracz, Winhranowski czy Pawłyyczko?*

M.K.: – Winhranowski odszedł najwcześniej, zajął się kinem. Dracz napisał samokrytykę. Przy czym jakoś tak się złożyło, że do Dracza raczej nie było w naszym środowisku żadnych pretensji. Pawłyczkę znałam najmniej, ale wydawało mi się, że był taki sprytny, iż czasami sam się przechytrzał. W ogóle nikt z naszego koła nie był z nim blisko. Oddawaliśmy mu to, co mu się należało, szczególnie za czasów, kiedy był redaktorem naczelnym *Wseswitu*. Uznawaliśmy, że wtedy jednak zrobił coś dobrego dla kultury ukraińskiej.

B.B.-A.H.: – *Ale przecież to on zwolnił z redakcji Mykołę Łukasza.*

M.K.: – Bo nie miał wyjścia. Gdyby on tego nie zrobił, zrobiłby to ktoś inny. Aby pozostać naczelnym, musiał to zrobić. Nie chcę się nad tym rozwodzić, ponieważ nigdy nie byłam blisko z Pawłyczką. Podobnie szybko jak Winhranowski, odszedł Korotycz. Korotycz poddał się swoim ambicjom, a po aresztowaniu Swiłycznego w 1965 roku zachowywał się po prostu nieprzyzwoicie.



B.B.-A.H.: – *Przyszł rok 1972 i masowe aresztowania określone mianem „wielkiego pogromu”...*

M.K.: – Do wielkich aresztowań doszło w styczniu 1972 roku. Dziuba ciągle był na wolności. Mnie zaczęto wzywać na przesłuchania do KGB. Do czego chcieli mnie wykorzystać? Kaciebiści zdecydowali się wykorzystać moje nazwisko i połączyć je z nazwiskiem Zinowii Franko. Zinowię Franko natychmiast po aresztowaniach zatrzymali, choć formalnie nie została aresztowana. W trakcie rozmów KGB szantażowało Franko dziećmi, tym, że odbiorą jej mieszkanie, w którym mieszkała cała jej rodzina. To mieszkanie było dla niej sprawą życia i śmierci. Po zatrzymaniu Zinowii Franko jej mąż natychmiast zerwał z nami wszystkimi kontakty, my zaś nie mieliśmy do niej żadnego dostępu. W jakiś czas potem zaczęło się to ciągnięcie mnie do KGB, był taki okres, że wzywano mnie tam codziennie. Z początku chcieli mnie zastraszyć, na przykład pytali: „A co tam porabia Pani mała?” Moja córka miała wówczas jedenaście lat, niemniej odpowiadałam: „Nic nadzwyczajnego, gotuje ziemniaki, a w ogóle to wcale nie jest taka mała”. Potem zostawiali mnie całymi godzinami samą w gabinecie. Kiedy zaczęli mnie trzymać w KGB do szóstej, siódmej popołudniu i sytuacja ta zdawała się nie mieć końca, zdeterminowana powiedziałam: „Jeżeli chcecie mnie tu zostawić, to proszę bardzo, zostawiajcie, o proszę, mam ze sobą szczoteczkę do zębów. Jeżeli natomiast macie zamiar mnie wypuścić, to puszczajcie, bo jestem już zmęczona, mój dzień pracy już się skończył”. Później wpadłam na pewien pomysł. Kiedy wzywali mnie do KGB, a pracowałam wtedy jako redaktor, brałam ze sobą swoją robotę, długopis i redagowałam tekst. Kaciebistom mówiłam: „Chodzi wam o to, by mnie tu trzymać, a ja mam pilną robotę”. I tak to trwało.

Początkowo w tych przesłuchaniach, KGB chodziło o czeski ślad. A że często u mnie gościli Zena Genyk-Berezowska i Andrij Kurymski, więc przesłuchiowano mnie niejako z automatu. W pewnym momencie zrozumiałam, że Zina Franko zaczęła mówić, i to mówić o wszystkim. Było to tym bardziej niebezpieczne, że Zina płątała ze sobą, to co

istotnie się wydarzyło, z tym co nigdy nie miało miejsca. Oczywiście na śledztwie wszystkiemu zaprzeczałam i natychmiast uprzedziłam wszystkich, że Franko zaczęła sypać.

Pamiętam, jak wysłano mnie rzekomo w podróż służbową do Charkowa. Już tam na miejscu zabrali mnie do KGB i pokazali samokrytykę Ziny Franko, wydrukowaną w gazecie *Radianska Ukraina*. Spojrzałam na początek i podpis i zwróciłam im gazetę. Kaciebiści nie mogli wyjść ze zdumienia: „Jak to, nie chce Pani tego przeczytać?” Ja im na to: „Jakby wam tu powiedzieć, znam ten styl. Z całą pewnością lepiej od Ho Mo Jo nie można się kajać” (w samokrytyce ten Chińczyk napisał, że musiałby wytaplać się w błocie, aby odpokutować swoje winy). Później zmuszono jeszcze Franko do wystąpienia w telewizji.

W pewnym momencie KGB zorganizowało konfrontację mnie i Franko. To było chyba najgorsze przeżycie. Zabrali mnie z pracy (szczęściem w nieszczęściu było to, że miałam wyjątkowo porządną szefową; z całą pewnością te ciągłe wezwania miały być sygnałem do nagonki na mnie w pracy, a dzięki niej nagonki nie było), zawieźli do KGB, wprowadzili do pokoju, w którym wcześniej nie bywałam, a tam już czekała Zina Franko. Rzuciła się ku mnie z otwartymi ramionami. Zbyłam to jakimś zdawkowym gestem. Był tam śledczy Mykoła Kolczyk, ten sam, który rozpracowywał Dziubę, najinteligentniejszy z kaciebistów, których spotkałam (znałam go jeszcze z uniwersytetu, był moim rówieśnikiem, studiował prawo i nasze podobizny jako najlepszych studentów zawsze wisały obok siebie na tablicy chwały/*doszka poszany*/). Kolczyk powiedział: „Wtedy to a wtedy w waszym mieszkaniu Zinowija Franko przekazała Andrijowi Kuryskiemu *Ukraińskij Wisnyk* itd.”. Na to ja: „Pytaliście mnie o to dziesiątki razy, dziesiątki razy już na to pytanie odpowiadałam i po raz kolejny odpowiem: niczego takiego nie pamiętam”. Na to Kolczyk: „A Zinowija Tarasiwna twierdzi co innego”. Kolczyk mówi, a Franko milczy, coraz bardziej kuląc się w sobie. Kolczyk chwilę patrzył na nią wyczekująco, w końcu ryknął: „No, Tarasiwna!!!”. Franko zaczęła coś szybko mówić... Sytuacja okropna i jednocześnie zadziwiająca: do mnie, choć mieszałam im wszystkie karty, kaciebiści

odnosili się z całym szacunkiem, natomiast Zinę Franko traktowali jak śmiecia. Kiedy po tej konfrontacji wychodziłam na ulicę, to ugiwały się pode mną nogi. Pamiętam jak dzisiaj, że poszłam natychmiast do Dziuby, który pracował wówczas w wydawnictwie „Dniepro”, niedaleko KGB, i powiedziałam, że muszę dotknąć człowieka.

Wprawdzie z konfrontacji nic nie wyszło, ale przesłuchania trwały nadal. W końcu postanowiłam napisać list do Fedorczuka, który zakończyłam mniej więcej w ten sposób: „Chcecie ode mnie usłyszeć nie to, co ja mówię, lecz to, co chcecie usłyszeć. Bez względu na konsekwencje ja tego nie uczynię”. To zdanie podkreśliłam na czerwono. Proszę sobie wyobrazić, że ten list poskutkował, przestano mnie wzywać do KGB. Tak zakończyła się moja pierwsza runda z organami.

Druga runda rozpoczęła się, gdy Dziuba napisał samokrytykę, a ja nie wytrzymałam i napisałam do niego list. Przy czym umówiłam się z jednym ze znajomych, że przekaze mu ten list, kiedy w domu nie będzie żony ani teściowej Dziuby. Tak też ten mój znajomy uczynił. A następnego dnia u mnie była już rewizja. Przetrasnęli całe mieszkanie, ale niczego nie znaleźli: mojej jedenastoletniej córce udało się zniszczyć brudnopis listu. Później okazało się, że kiedy mój znajomy przekazywał list Dziubie, w jego mieszkaniu siedział właśnie śledczy Kolczyk. W ogóle pokajanie się Dziuby było dla nas wszystkich tragedią. Nie mogłam zrozumieć, jak Dziuba mógł ją napisać. Z tego mojego listu pamiętam jedno tylko zdanie: „Twoja samokrytyka to dla nas nóż w plecy”.

B.B.-A.H.: – *Pora teraz na pytanie o Pani korespondencję z przyjaciółmi, którzy zostali aresztowani. Kiedyś powiedziała Pani, że pisanie listów w pewnym momencie Pani życia, było jego sensem. A że i Pani była ważnym korespondentem dla więźniów, świadczą m.in. słowa z listu Iwana Switłycznego do Mykoły Bazana<sup>42</sup>: „W rzeczywistości*

---

42. Mykoła Bazan (1904-1983) – poeta i tłumacz. Początkowo tworzył pod wpływem futurizmu i ekspresjonizmu, po 1932 r. (wydał wówczas tomik o charakterystycznym tytule – „Śmierć Hamleta”) przeważa w jego poezji tematyka rewolucyjna i wojenna.

*posiadam korespondentów, z którymi łączą mnie ściste, można nawet powiedzieć, intymne więzy. Rozumiemy się w pół słowa i im nie musiałabym wyjaśniać wiele z tego, co zmuszony jestem wyjaśniać Panu. Spośród tych korespondentów wybrałem sobie Mychajłynę Kociubyńską (nie muszę jej Panu przedstawiać) i zacząłem pisać do niej poważny list, lecz wszystko widzące oko dopatrzyło się w nim prawdopodobieństwa nieprawomyślności i rozpoczęty przed trzema miesiącami, nie ukończony list został mi odebrany, a następnie skonfiskowany". Jak więc było z tym pisanie listów?*

M.K.: – Pisanie listów było czynnością równie ważną dla tego, kto listy otrzymywał, jak i dla tego, kto listy pisał. Przede wszystkim był to życiowy wybór: jeżeli zdobywałeś się na pisanie listów pomimo, że twój korespondent siedział w łagrze, to dawałeś świadectwo odwagi i w tej odwadze się utwierdzałeś. Prawdą jest to, co Pani powiedziała, kiedy moi przyjaciele zostali aresztowani, pisanie do nich było sensem mojego życia. Ze względu na więzienny reżym, tych listów nie było tak dużo, jakbym tego chciała. Od moich korespondentów otrzymywałam głównie kartki pocztowe, czasami dostawałam jakimś cudem przemycony pozaplanowy list. Czasami list do mnie przesyłany był w korespondencji do żon, sióstr, rodziny więźniów. Zdarzały się przy tej okazji problemy. Na przykład jeden z najciekawszych i najbardziej wzruszających listów Stusa do mnie przeczytałam niedawno, kiedy przygotowywałam korespondencję Stusa do wydania. Ten list znajdował się w korespondencji do żony, nie dociekałam jak to się stało, że żona Stusa wtedy, kiedy nadszedł, nie przekazała mi go. List ten był napisany dwa lata przed śmiercią poety. Każdy list z obozu traktowałam jak prezent od losu. Najbardziej przykre sytuacje zdarzały się, gdy nie mogłam przeczytać napisanych do mnie listów: tak na przykład było dość często z listami Swerstiuka z powodu jego nieczytelnego charakteru pisma.

Kiedy człowiek zdecydował się pisać do łagrów, to natychmiast musiał odpowiedzieć sobie na pytanie: jak pisać? Nie było to banalne pytanie, bo cenzura więzienna była

bardzo ostra i pod byle pretekstem konfiskowała listy. Nie można było pisać ani otwarcie o rzeczach ważnych. Trzeba było więc znaleźć jakiś sposób. Na przykład żona Switłycz-nego wypracowała cały system różnych umownych znaków. Ja wybrałam inną drogę: pisałam o tematach ogólnoludzkich i ponadczasowych, dzięki czemu mogłam o wielu rzeczach informować. Większość moich listów dochodziła do adresatów. Przy czym zauważyłam jeszcze jedną prawidłowość: nie dochodziły nie tylko listy ocierające się o jakąś społeczną czy polityczną tematykę, ale również nie dochodziły po prostu najlepsze listy (niedawno wśród materiałów, które zwrócono z archiwum KGB synowi, odnalazłam jeden z takich listów). Nie doszedł np. do Stusa jeden z moich najlepszych listów poświęcony muzyce, sztuce bez żadnych aluzji politycznych. Zdarzały się też sytuacje kuriozalne. Stus, pracując nad przekładami z Goethego, poprosił o przesłanie mu schematu wiersza aleksandryjskiego, konkretnie prosił o schemat heksametru i pentametru. Napisałam schemat, wiecie jak to wygląda: kreska kropka itd., i list, oczywista, zatrzymała cenzura. Wtedy zrozumiałam, że cenzura potraktowała ten schemat jak tajemniczy szyfr. Napisałam więc drugi list, przy czym z boku listu robiłam mniej więcej taką notatkę: „Szanowny Towarzyszu Cenzorze, to jest schemat wiersza antycznego. Niezwykle gorąco proszę was, przepuście ten list”. I list dotarł do Stusa.

Jeszcze jeden szczegół dotyczący mojej strategii korespondencji. Dużo wtedy podróżowałam, oczywiście, po Związku Sowieckim. I bez względu na to, gdzie byłam, kupowałam karty pocztowe, możliwie najładniejsze, siadałam w jakimś malowniczym miejscu i pisałam na tych kartkach o tym, co widzę; opisywałam krajobraz, zabytki, zwyczaje. Kartki te z reguły dochodziły. I dopiero teraz, kiedy przygotowywałam listy Stusa, zrozumiałam, jakie ważne były one dla niego. Te kartki były dla niego jak łyk świeżego powietrza. W listach do żony opowiada te moje liściki z kart pocztowych.

Mówiąc o tym naszym korespondowaniu, muszę podkreślić, że wszyscy nasi adresaci (w moim przypadku byli to przede wszystkim Switłycznyj, Stus, Swerstiuk) prowadzili z

administracją zaciętą wojnę o każdy list. Ta walka była wyjątkowo zacięta na zesłaniu. W ogóle mieliśmy taką nie-pisaną umowę, że listy do łagrów wysyłaliśmy jako przesyłki wartościowe, przy czym ich wartość określaliśmy bardzo wysoko. Czasami to pomagało. Jeżeli w liście niczego specjalnego nie było, a jego wartość określona była bardzo wysoko, to przekazywano go adresatowi. W swoich listach starałam się systematycznie przekazywać moim adresatom informacje o tym, co się ostatnio pojawiło na rynku księgarskim.

Jestem przekonana, że korespondencja *szesydesiatnyków* jest ogromnie ważną kartą naszych najnowszych dziejów. Na szczęście wiele udało się już opublikować. Ukazała się korespondencja Jewhena Swerstiuka z Jurijem Łuckim<sup>43</sup>, wzruszająca korespondencja Zinowija Krasiwskiego z działaczką *Amnesty International*, Iris Akagoshi, listy Wałerija Marczenki do matki. Wraz z synem i synową Wasyla Stusa przygotowałam do druku dwa wyjątkowo cenne tomy korespondencji Stusa z bliskimi, przyjaciółmi i znajomymi. Książkę, która ukaże się w tym roku opatrzone szczegółowymi przypisami i indeksem. Żona i siostra Iwana Switłycznego przygotowały tom jego listów i wspomnień o nim. Kilka lat temu, porządkując w Pradze archiwum Ziny Genyk-Berezowskiej po jej śmierci, natrafiłam w nim na ponad 300 listów *szesydesiatnyków* do niej (m.in. Switłycznego, Swerstiuka, Dziuby, Szewczuka, Korohodskiego i moje). Przywiozłam je do Kijowa i zamierzam opracować.

B.B.-A.H.: – *A kto w ogóle wtedy utrzymywał kontakt listowny z łagrami?*

M.K.: – Oczywiście, przede wszystkim żony i rodziny, oprócz nich cały ten krąg dysydentów. Jeszcze raz chcę podkreślić, że pisanie do obozów nie było łatwą decyzją. Nie chodziło przy tym o treść listów, a o sam fakt pisania.

---

43. Jurij Łucki (ur. 1919) – emigracyjny historyk literatury, tłumacz. Mieszka w Kanadzie. Przełożył m.in. eseje Jewhena Swerstiuka (1976).

B.B.-A.H.: – *Czy były wypadki, że ktoś, kto zdecydował się pisać listy, miał z tego powodu jakieś nieprzyjemności?*

M.K.: – Oczywiście. Odpowiednie organy po prostu znajdowały tych ludzi i się zaczynało. Kągiebiści przychodzili do pracy i zaczęli odpytywać: „Napisałście kartę do Switłycznego – dlaczego?”. Zresztą co tu mówić o pisaniu do obozów, wystarczył sam kontakt z ludźmi takimi jak ja, by mieć nie kończące się kłopoty. Przykład – znajoma nauczycielka, której pomagałam i która mnie bardzo lubiła, w pewnym momencie zniknęła z mojego życia. Po latach dowiedziałam się, że z mojego powodu była wzywana do KGB. Grożono jej, że jeżeli nie zerwie ze mną stosunków, to zostanie zwolniona z pracy. Od pewnego momentu ludzie, dość mi bliscy, zaczęli na mój widok przechodzić na drugą stronę ulicy. Obserwowała to również moja córka, najpierw ze zdziwieniem, później zaś rozumiała, o co chodzi i kiedy w jej obecności zdarzało się coś takiego, mówiła: „O, i ten też!”

B.B.-A.H.: – *U Stusa w dziennikach jest taka uwaga zapisana pod koniec 1979 roku, kiedy na krótko między jednym a drugim aresztowaniem znalazł się w Kijowie, że nie poznał tego miasta, że nie może znieść atmosfery serwilizmu i tchórzostwa. W tym samym zapisku jest jego deklaracja, że wstępuje do Ukraińskiej Grupy Helsińskiej, bo nie widzi innego wyjścia. Jak Pani, która pozostała jednak na wolności, pamięta atmosferę końca lat siedemdziesiątych?*

M.K.: – Na pewno nie odczuwaliśmy tego tak ostro jak Stus, bo przecież byliśmy bezustannie w tej atmosferze zanurzeni. Oczywiście, nie mieliśmy złudzeń, że jesteśmy na wolności. Było to dla nas jasne, że obóz jest małą zoną, a my żyjemy w dużej. Ci, którzy powracali z obozów odczuwali tę atmosferę gorzej, bo tam w łagrze byli wewnętrznie bardziej wolni niż my. Nam ta atmosfera weszła jednak jakoś w krew.

B.B.-A.H.: – *Jakie lektury ukształtowały wasze środowisko?*

M.K.: – Przede wszystkim literatura *samwydawu*. Nowości

literatury światowej dostępne w języku polskim: Kafka, Camus. Bardzo ważne i popularne wśród nas było pismo czechosłowackich Ukraińców *Dukla*. Z pisarzy na początku bardzo popularny był Hemingway. Następnie Saint-Exupery, a szczególnie „Ziemia – planeta ludzi”, „Mały Książę”. Wszyscy go czytali. Dużą popularnością cieszyła się także literatura rosyjska, Stus na przykład zachwycił się Ajtmatowem, Tendriakowem, Rasputinem. Rasputina zresztą czytaliśmy wszyscy. Switłycznyj cenił Astafjewa. No i oczywiście Sołżenicyn. „Oddział chorych na raka” przekazywaliśmy sobie z rąk do rąk. Podobnie było z „Jednym dniem Iwana Denisowicza”. Oprócz tego kolosalne znaczenie miało dla nas pismo *Nowyj Mir*. Ogromne. Zawsze je prenumerowałam. Ostatnio ukazała się bardzo ciekawa książka Łakszyna „Nowyj Mir w epoce Chruszczowa”. Kiedy z kolei się czyta książkę Ludmiły Aleksiejewnej „Inakomyslenije w SSSR”, to z kolei widać, jak wielkie znaczenie dla Rosjan mieli ukraińscy dysydenci. W tym względzie rzeczywiście istniało coś w rodzaju internacjonalistycznej przyjaźni.

B.B.-A.H.: – *A skąd czerpalicie nadzieję w te beznadziejne lata siedemdziesiąte?*

M.K.: – Gdyby na to pytanie odpowiadał człowiek z temperamentem polityka, zapewne odpowiedziałby coś innego. Jeżeli zaś chodzi o mnie, to czerpałam nadzieję z samej istoty człowieczeństwa. Zawsze byłam przekonana, że jakieś takie podstawowe ludzkie wartości muszą zwyciężyć. Bo gdyby nie zwyciężyły, to w ogóle życie musiałoby zamarść. Ja sama znałam w życiu tyle dobroci, tyle przyjaźni, tyle czegoś czystego, jasnego. Zawsze mi się wydawało, że właśnie to jest autentyczne, że to jest prawdziwe życie. I jeżeli życie będzie trwać, a ono tak czy owak będzie trwać, to w końcu właśnie to zwycięży. Taki to był mój pasywny optymizm. A gdyby mówić bardziej generalnie, to wszyscyśmy wyrosli na takiej fali odrodzenia narodowego i byliśmy pewni, że to co było dla nas najistotniejsze, jest nie do zduszenia i przy następnej nadarzającej się okazji jeszcze się rozwinie. To była jakaś taka metafizyczna wiara.

B.B.-A.H.: – *Dziękujemy serdecznie za rozmowę.*